



ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV

Warszawa, dnia 6 lipca 1947 r.

Nr 27 (136)

W numerze:
Jan M. Powak
Zycie w USA
*
Stefan Otwinowski
Humor filozoficzny
*
Wojciech Żukowski
Zona

ALEKSANDER WAT

BITWA POD ZURYCHEM

POWRÓT SYNA MARNOTRAWNEGO

Bitwa pod Zurychem nazwał wiceprezydent D. Saurat z delegacji angielskiej XIX kongresu PENClubu. Na razie nic nie zapowiadało bitwy. Na odwrót, pogoda była oślepiająca nad jeziorem zurychskim, dokoła był leniwy dostatek, a na kongresie w Schweizerhofie panował nastrój ewangeliczny.

Wszystko bowiem było przygotowane do przyjęcia syna marnotrawnego. Goście zwołani, wzruszony ojciec szykuje swój speech powitalny, a starszy cnotliwy syn — cóż mu pozostało innego, prócz żądźności?

Na „historycznym kongresie, na którym nastąpi włączenie Niemców do wspólnoty penclubowej” — jak mówił D. Saurat w cytowanym już speechu bankietowym, uprzedzając wynik głosowania — panowała z początku w stosunku do Niemców i Niemiec okliwa czułość, sentymentalizm, przywołujący na pamięć powieści angielskie dla dorastających panienek, a może i literaturę angielską XVIII w. Niewątpliwie, było to ciekawe z punktu widzenia literackiego. Ale my, przedstawiciele krajów okupowanych podczas wojny... my, którzy wiemy, w jaki sposób ludzie sentymentalni i źli rozbijają główki niemowlętom i wrzucają do pieców małe dzieci, my już nie jesteśmy wrażliwi na orki sentymentalizmu. Nie potrafimy w nich smakować.

Więc poszargaliśmy świętości, podaliśmy Niemcom piotun i ocet. P-puiliśmy — niestety, niestety — piękną parabolę ewangeliczną o powrocie marnotrawnego syna.

FAKTY

Bitwa pod Zurychem jednak się zaczęła. Od razu pierwszego dnia na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego, na którym reprezentowałem dwuosobową delegację polską, doszło do ostrych starć. Przytaczająca większość była za natychmiastowym przyjęciem Niemców bez zastrzeżeń. Dzielnym Holender, poeta Donkersloot, i Francuz Membre wyrażali wątpliwość, czy nie należy sprawy przyjęcia Niemców odłożyć do następnego Kongresu. Słuchając hołdów pod adresem zaproszonych gości niemieckich, Wiecherta i Kästnera — Membre zauważył zjadliwie, że podobno w obozach najgorsi byli cacy, więźniowie-Niemcy, bez różnicy przekoń. Powiedziałem w imieniu delegacji polskiej, że jesteśmy w zasadzie za uniwersalizacją PENClubu, że nikt bardziej od nas nie pragnie zapełnić próżni, która się wytworzyła w środku Europy po zbrodni i klęsce narodu niemieckiego treścią konstruktywną i europejską. Toteż

dla nas nie jest istotna kwestia terminu — wiemy dobrze, że reedukacja Niemiec nie będzie jeszcze zakończona, gdy my już będziemy się zbierać w PENClubie niemieckim. Istotna dla nas natomiast jest sprawa trwałych i pewnych gwarancji, że nie będziemy zasiać, ani dziś, ani za dwa, ani za pięć lat, we wspólnej organizacji z pisarzami niemieckimi, którzy splamili się jaką bądź współpracą czy zgodą z reżimem tępienia naszych narodów.

Więc dalej debatowano już nad sprawą gwarancji. Sekretarz międzynarodowy i niezastąpiony PENClubu, mr. Hermon Ould, i przewodniczący Komitetu Wykonawczego prof. Saurat zgodzili się z moimi wywodami i zaproponowali gwarancje: jednorazową komisję w składzie sekretarza mr. Oulda (Anglik), Niemca z emigracyjnej sekcji w Londynie, trzech Niemców z Niemiec (Kästner, Wiechert, nieobecny Doebelin)... i jednego przedstawiciela sceptyków. Sceptycy to niby my, delegaci z krajów okupowanych podczas wojny...

Debaty przeciągnęły się do wieczora. Skwar był nieznośny, rozneglizowani stacaliśmy oziębite boje. Była jeszcze sprawa zgłoszonych wniosków. Sympatyczny poeta brazylijski zgłosił rezolucję, w której nakładał na poszczególne sekcje obowiązek oskarżenia przed międzynarodowym PENClubem rządów własnych krajów w każdym wypadku ograniczenia wolności słowa. Uśmiechaliśmy się smutnie, gdy delegat państwa, w którym niedawno zamknięto wszystkie związki zawodowe, domagał się usunięcia z PENClubu krajów, w których nie panuje brazylijski model demokracji. Tego było za wiele nawet Anglikom. Staraliśmy się wyperswadować miemu Nascimento, aby wycofał swoją rezolucję, w końcu odesłano ją do komisji, gdzie uległa rozbrojeniu z wszystkich drastyczności.

O wiele dramatyczniejsza była sprawa rezolucji palestyńskiej. Potępiła obojętność i milczenie świata wobec męczénstwa narodu żydowskiego. Piętno Kaina dopoty pozostanie na ludzkości, póki świat nie znajdzie pozytywnego rozwiązania dla resztek Izraela, póki nie odzyskają one swojej własnej ojczyzny. Gdy po długiej dyskusji delegat palestyński Grossman zrezygnował ze słów „of his own” — własnej ojczyzny, mr. Saurat podchwycił skwapliwie, że ta rezolucja oznacza, iż ojczyzną Żydów nie musi być Palestyna.

A więc, nie miejmy złudzeń, polityka, polityka i jeszcze raz polityka. Mówię to pod adresem tych, którzy wierzą, że na Zachodzie literatura nie hańbi się polityką. A jakże!

To już nie tylko krew polityki, ale i jej ropa. Gdy wypominałem jednemu z generalów bitwy pod Zurychem jego publiczną pochwałę niemieckiej kultury, odpowiedział opryskliwie: „Nie ma o czym mówić, kultury niemieckiej w ogóle nie ma. Umarła. Urodzi się dopiero za sto lat”. — „Więc tym bardziej...” — wtrącam naiwnie. — „Trzeba mieć poczucie humoru — przerwał mi — Musimy Niemców zachęcić. To wszystko”. Chciałem mu powiedzieć, że ja osobiście nie lubię polityki, że chodzi mi o sprawę norm moralnych. Ale zamiarkowałem w porę, że skompromituję się jako prowincjonalny symplaçek.

I gdy potem ci sami generalowie, gilotynując na plenum wniosek palestyński — z braku czasu! — stwierdzili, że w przyszłości unikać będą wszelkich wniosków i debat politycznych, przypomniałem sobie Thackeraya i Dickensa i miałem okazję do medytacji nad naturą obłudy ludzkiej.

Był już wieczór, gdy wyszedłem ze Schweizerhofu. Byłem zmęczony i przybity, czułem się wplata-

wanych: Belgii, Danii, Holandii, Francji, Norwegii. Przedstawiłem im swój wniosek. Został jednogłośnie przyjęty, z drobnymi zmianami, które zresztą później odpadły. Jako porte parole naszego „bloku sceptyków” wystąpił na plenum profesor Pierard, mówca wielki, drapieżny, który lojalnie podkreślił, że wniosek jest polski. Bitwa trwała od rana do wieczora. Pięciokrotnie Anglicy udaremnieli głosowanie. Perypetie walki były burzliwe, dochodziło do awantur i okrzyków, Anglicy wygrywali wszystkie atuty. Znowu Mann apelował do wspaniałomyślności, znowu lamentował Wiechert, Kästner i przybyli w ostatniej chwili Becher, Niemcy wzruszali i czarowali, szala zwycięstwa chwiała się, ale Niemcy przemawiali po niemiecku, a dwa przekłady po każdym przemówieniu potrafiły ochłodzić każde wzruszenie. To był błąd taktyczny.

W końcu wygraliśmy bitwę. Anglicy wycofali swój wniosek. Za naszym wnioskiem głosowało 26 delegacji, przeciw 4.



Tomasz Mann (pierwszy od lewej) w rozmowie z prezydentem Szwajcarii (trzeci od lewej)

Akcenty zgody pogłębił Michał Rusinek, wygłaszając deklarację o pokojowych tendencjach literatury polskiej i apel o krzewieniu idei pokoju. Zebrał oklaski i czuła odpowiedź wiceprezydenta Saurata, który zapewnił, że Polska w PENClubie cieszy się sympatią.

Wysłuchano jeszcze kilku rezolucji, programu przyszłorocznego kongresu w New Yorku, namiętnego wypadu nowoprzyjętego Syryjczyka przeciw wnioskowi palestyńskiemu. Potem już były bankiety, bale i żegluga po jeziorze Czterech Kantonów.

NOUS AUTRES, POLONAIS

Nie trzeba jednak sądzić, że było dylicznie. Nie tylko dlatego, że walka była zacęta, że trzeba było się dwoić i troić. I nie tylko z powodu entuzjazmu dla Niemców. Trzeba to powiedzieć, że otaczała nas na początku niechętna nieufność, którą przełamaliśmy niełatwo. Tu można było stwierdzić naczynie, że polityka proniemiecka jest od razu, bez ogniw pośrednich, polityką antypolską. Ale jest jeszcze jeden czynnik tego równania. Incydent z mową bankietową i wiele innych oznak wskazywały znowu naczynie, że wszelka polityka antyrosyjska jest bez żadnych ogniw pośrednich polityką proniemiecką, a więc antypolską. Równanie: polityka antyrosyjska = proniemieckiej = antypolskiej jest po prostu tautologią, czy to się podoba czy nie. I wystarczy wyjrzyć z naszego podwórka na Zachód, aby przeorientować się o tym na każdym kroku.

Otaczała nas z początku nieufność i niechęć. I tu muszę stwierdzić rzecz bolesną. Jestem daleki od rozpolitykowania, osobiście inklinuję może raczej do radykalnego liberalizmu dziewiętnastowiecznego — uznaję prawo każdego do własnych poglądów, do walki politycznej a nawet do nienawiści politycznej. Nie neguję prawa naszej emigracji do walki politycznej. Ale przez głupotę, przez zacietrzewienie doprowadziła ona do tego, że w społeczeństwach zachodnich zaszargała opinię o samym narodzie i państwie polskim, że spowodowała w obcych społeczeństwach niechęć i zniecierpliwioną pogardę do Polaków i Polski. Mówił mi Ign. Siłone, że przychodzą do niego często Polacy — przez uprzejmość musi ich wysłuchać — opowiadają o Polsce takie okropności, że nabiera się wstrętu. Nie dokończył zdania, ale oczywiście: wstrętu do Polaków.

Tu już nie chodzi o to, że traktuje się każdego przybysza z Polski nieufnie, nie chodzi nawet o oszczerstwa o okupacji, to już nie jest walka polityczna przeciw rządowi, to ciężki występki względem narodu. Ci zacietrzewieni, czasem obłąkani ludzie zapuszczają kurtyne wstrętu i pogardy między Polską a obcymi społeczeństwami — i to im wybaczyć trudno. Szkodzą nie tylko rządowi, szkodzą narodowi, szkodzą i sobie, żałośni, oślepli z nienawiści samobójcy.

To nie jest tylko, niestety, sprawa asów — psychoza wziała się głębiej. Osoba zupełnie nijaka, apolityczna, wybierająca się do kraju, zyczyła dla kraju, gdy na pytanie paryskiego hotelarza odpowiadam, że w Polsce pracuję się ciężko, ale z żywnością jest łatwiej niż we Francji — wtrąca z bezmyślnym śmiechem: „Ależ, to delegat z Polski, on nie może inaczej mówić!” Ten szkaradny kretylizm wzięł się w odruchy naszych emigrantów.

Jest oczywiście i druga strona medalu. Nie chcę uogólniać, ale po trzytygodniowym pobycie w Szwajcarii i Francji, po setce chyba rozmów, odniosłem niejedno smutne wrażenie. Gdy Tomasz Mann polecając PENClubowi pierwszą listę kandydatów niemieckich wymienił skompromitowanego zresztą starego Jaspersa, siedzący obok mnie dziennikarz polski z Wiednia, który przypadkowo się tu znalazł, zawołał głośno „bandyta!”. Często się zdarza, że niepowołani przybysze z Polski opędzają się cudzoziemcom zdawkowym banałom, albo — co gorsza — z pogardliwą wyższością przeciwstawiają beznadziejnie „zgniłemu Zachodowi” naszą zdrową krzepę. Wiemy zresztą, jak niejedną z naszych kolegów po powrocie z kilkutygodniowego wояжу z łatwą efronterią maluje obraz zagłady zgniłego Zachodu. Oczywiście, są to wypadki sporadyczne. Tym się na Zachodzie nikt nie dziwi ani nie zbuduje. To przynosi nam tylko szkodę.

Nie trudno się przekonać, że można tu zrobić wiele, bardzo wiele, trzeba jednak operować nie propagandą, lecz argumentacją prawdziwą, trzeźwą i rzeczową. Można podawać cudzoziemcom koncepcje wręcz przeciwstawne ich tezom, a nawet łatwiej w ten sposób zainteresować np. Francuza, bo przecież Francuz nie będzie słuchał Polaka, który powtarza mu jego własny pacierz. Trzeba jednak, aby forma tych koncepcji, ich obrobienie, ich struktura i styl były zachodnioeuropejskie. I to jest jedyny język, jakim można się porozumieć z ludźmi Zachodu.

Dla przykładu małe tableau. Na śniadaniu w restauracji zurychskiej z Anglikami, sąsiadka moja, znana pisarka i działaczka, po wymianie kilku dowcipów, wypowiedzianych z obu stron nieświeżym francuszczyzną, zadaje mi poufne pytanie: — cacy — cacy, ale niech pan powie szczerze, jesteście okupowani? Odpowiedziałem jej śmiechem, w którym zrazu dopatrzyła się arobyta. Potem wyłożyłem jej mniej więcej tak: słyszała pani, że Niemcy zastosowali w Polsce system najbardziej wziętego terroru, że setki tysięcy, miliony Polaków walczyły codziennie z okupantem, narażając życie, skazując się na cierpienia nadludzkie. Wie pani, że wśród literatów polskich było tylko trzech kolaborantów i to jeden wątpliwy. I jak pani sobie to wyobraza, nagle ci sami Polacy, a oburzająco buntowniczy, aż nazbyt krnąbrni i oporni, zmieniają się w pokorne owieczki, dają się okupować i jedzą z ręki? A może pani sądzi, że Rosjanie mają magiczny dar urzekania? Tu przytoczyłem jej opowiadanie Leskowa, którego bohater, wyższy urzędnik carski, zaraz po powstaniu daje projekt rozwiązania sprawy polskiej. Ziemię wschodnią, zamieszkałą przez ludność ruską, choć spolonizowaną, rozparcelował pomiędzy 10 tysięcy małych „pomieszczyków”. W każdej „usadbie” stanął samowar, 10.000 samowarów i dym, który się nad nim rozściela, zrusyfikuje z powrotem ten kraj w ciągu paru lat. „A co do reszty — o, mi sobie z tym nie poradzimy, polamiemy sobie zęby, oddajmy to Niemcom, oni to potrafią gładko przekonać”.

Moja rozmówczyni zamyśliła się i powiedziała: „Wie pan, to brzmi dosyć przekonawo”. Muszę zająć nad tym zastanowić”.



Delegaci amerykańscy głosują

ny w misterną sieć intryg i interesów. Niewiele dotąd stykałem się z Anglikami, mam dla nich wiele podziwu i szacunku, imponuje mi ich postawa w latach klęski, ich obecna abnegacja. Jest niewątpliwie wielkość w ich trwałości. Ale z każdego zetknięcia z Anglikami — chyba nie ja jeden? — wynoszę jakieś przykre rozdrażnienie. Oni nie tylko chcą postawić na swoim — któż tego nie chce? — oni a priori postawili już na swoim i nie są w stanie wątpić, że w ogóle może być inaczej. Britannia locuta, causa finita. Jestem, jak rzekłem, zgnębiony, zagubiony w tej sieci rozgrywek, gier, politycznej intrygi. Idę strądem chwycając się ze zmęczenia. A dokoła — Boże wielki! — ile urody, ile dobrane piękna! Niebo błękitne, chmurki różowujące, liliowe, fioletowe, skaliste góry, geste zielone regle, czerwone dachówki na stokach i ogromna zielonkawa kładź jeziora z refleksami czerwieni i złota, żagle bieleją, różowieją, błękitnieją, woda się marszczy, fale pluszczą, dzweczyna caluje chłopca.

ZMOWA SCEPTYKÓW

Wróćmy do faktów. Rozjątrzony do żywego wpadłem w szal. Rozjątrzyły mnie owe gwarancje angielskie, miano sceptyków, którym obdzielono delegatów krajów okupowanych, atmosfera entuzjazmu dla męczenników niemieckich. Wraz z Czechami złożyliśmy ostry protest przeciwko przemówieniu bankietowemu mr. Saurat, uzyskaliśmy na Egzekutywie wyjaśnienia, które uznaliśmy za wystarczające. Ten przykry zresztą incydent przyhamował niewątpliwie dalsze hołdy. Nazajutrz rano wraz z bojową delegatką czeską, Ireną Tiuncową, zwołalem obranie delegatów krajów okupo-



Tomasz Mann wygłasza przemówienie

JAN M. NOWAK

ŻYCIE W USA

Od specjalnego wysłannika „Odrodzenia“

New York, w czerwcu 1947.

Choć eksperci od handlu zagranicznego wydzierali sobie włosy z głowy, Kongres uchwalił podniesienie taryf wywozowych na wełnę. Oznacza to, iż nawyki odgradzania się od świata taryfami są tak silne w kotach republikańskich, że nawet obecna sytuacja Stanów nie zdoła ich przełamać. Sytuacja tak wygląda, że Stany duszą się od nadmiaru produkcji swojej potężnej maszyny produkcyjnej, a sprzedaż za granicą nie mogą nic, bo inne państwa nie mają pieniędzy na opłacenie fantastycznie wysokich cen w dolarach. Ograniczenie dopływu wełny godzi w Australię, osłabiając jej zdolność nabywczą jako klienta Stanów Zjednoczonych. Takie posunięcie nie przyczyni się bynajmniej do łagodzenia rozdzwołów pomiędzy Stanami i Imperium rytyjskim.

Kongres uchwalił również bardzo wsteczny bill o pracy, oddający w praktyce pracowników na łaskę i niełaskę przedsiębiorców. Związki robotnicze i cała lewica Demokratów wywierają, w chwili kiedy to piszę, nacisk na Truman, aby postawił veto. Jednak nawet jeżeli Truman postawi veto, małe jest prawdopodobieństwo, aby to pomogło, bo za billem stoi przynajmniej większość Kongresu, może więc znaleźć się ilość głosów potrzebna konstytucyjnie do zaprzeczenia billu pomimo weta prezydenta.

A tymczasem ceny rosą dalej. Jeżeli bill o pracy wejdzie w życie, ograniczy on bardzo poważnie prawa związków zawodowych do walki o podwyżkę płac. Płace na obecnym poziomie nie tylko nie wystarczają na kupowanie przedmiotów luksusu (co w ekonomii Stanów ma bardzo poważne znaczenie), ale zaczynają zmuszać rodziny pracownicze do obcinania budżetów na żywność. Patrząc na sprawę z czysto amerykańskiego punktu widzenia, trudno nie dojść do wniosku, że polityka Kongresu, zgodna z polityką NAM (National Association of Manufacturers, związek wielkich potentatów przemysłowych), nosi znamiona samobójcze.

DYSKUSJA O IMIGRACJI

Nie chciałbym być posądzony o dopatrywanie się w obecnym Kongresie samych czarnych stron, choć do tego skłonna jest znaczna część opinii amerykańskiej. Muszę jednak opowiedzieć o dyskusji, która przedstawia umysły kongresmanów w niezbyt pochlebnym świetle.

Jak wiadomo w Europie nadal przebywa około miliona Displaced Persons. Są to przeważnie Polacy, Bałtowie, Ukraińcy, Żydzi, Jugosłowianie. Utrzymanie tych osób kosztuje Stany Zjednoczone dużo pieniędzy. Co z nimi dalej zrobić? Najprostsza rzecz byłoby wpuścić pewną ich ilość do Stanów Zjednoczonych, zwiększając w ten sposób potencjał ludnościowy kraju. Zważmy, że w czasie wojny nie było dopływu emigrantów z krajów europejskich, poza nielicznymi jednostkami. Ponieważ D.P.'s starają się wydostać z Europy z powodów politycznych, byłoby wszelkie racje, aby kongresmani o podobnym nastawieniu politycznym chętnie ich wzięli w Stanach Zjednoczonych. Ostatnio został wniesiony projekt ustawy, aby wpuścić do Stanów 400.000 tych osób w ciągu 4 lat. Dyskusja nad projektem wykażała jednak, że nie jest to takie proste: ni mniej ni więcej, tylko wchodzi tu w grę względy rasowe.

Ustawa imigracyjna Stanów z r. 1924 stosuje wyraźny podział na rasy pożądane i niepożądane. Do pierwszych należą nordycki mówiący po angielsku albo jednym z języków germańskich Do drugiej Słowianie, Żydzi, rasy łacińskie i mongolskie.

APEL

W związku z przygotowaniem przez nas antologię p.t. „30 lat satyry polskiej“ (1918—1948 r.), która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka“, zwracamy się do autorów, bibliofilów i do tych wszystkich, którzy posiadają wyczerpane już książki, druki, teksty szopek politycznych, roczniki pism satyrycznych jak „Pszczółka“, „Szczutek“, „Cyrułek Warszawski“ i inne, ewentualnie pojedyncze egzemplarze tych pism, wydawnictwa futurystyczne, utwory satyryczne ludowe, utwory pisane w czasie okupacji, jednoliniówki i dodatki satyryczne do pism codziennych — o przysianie tych materiałów pod adresem: Leon Pasternak, Łódź, ul. Bandurskiego 8.

Pisma te, w razie wyrażenia zgody przez właścicieli, chętnie zakupimy. W przeciwnym wypadku prosimy uprzejmie o wypożyczenie gwarantując zwrot tekstów w ciągu miesiąca od daty otrzymania. W razie niemożności przekazania nam materiałów prosimy o podanie spisu posiadanych druków i sposobu, w jaki moglibyśmy z nich skorzystać.

Leon Pasternak, Jan Spiewak

Oto tabela kwot imigracyjnych obowiązujących na mocy ustawy z 1924 roku:

Wyspy Brytyjskie	65.721
Niemcy	25.957
Irlandia	17.853
Polska	6.524
Węgry	5.802
Szwecja	3.314
Holandia	3.153
Francia	3.083
Czechosłowacja	2.874
Norwegia	2.377
Jugosławia	845
Turcja	845
Portugalia	440
Rumunia	377
Grecja	307
Hiszpania	252
Chiny	100
Filipiny	100
Palestyna	100

Jeżeli zbadamy te kwoty pamiętając o liczbie ludności poszczególnych krajów, intencja ustawodawców będzie zupełnie widoczna: chodzi o zatamowanie dopływu „ras niższych“.

Projekt ustawy o uchodźcach przewiduje sprowadzenie ich poza kwotami imigracyjnymi. Przeciwnicy ustawy rozumują jednak tak samo, jak ci, którzy uchwalali ustawę imigracyjną. Wpuszczenie znacznej ilości Słowian i Żydów jest według nich wysoce niewskazane. Rozmowanie wygląda następująco: każdy Słowianin i Żyd jest brudny, ergo każdy jest komunistą, ergo stanowi niebezpieczeństwo dla Stanów Zjednoczonych. Przymoń tuż, że kiedy dyskutowano w Kongresie o nominację Lilienthala na szefa komisji atomowej USA, jednym z argumentów przeciwko jego nominacji był fakt, że Lilienthal urodził się w Czechosłowacji. Jego przeciwnicy tak rozumowali (publicznie!): Lilienthal urodził się w Czechosłowacji. Czechosłowacja znajduje się w „strefie rosyjskiej“. Ten „to“ pochodzi ze „strefy rosyjskiej“ jest podejrzany. Ergo Lilienthal jest podejrzany. Przeciwnicy przy tym drobny fakt, że Lilienthal urodził się przed pierwszą wojną, kiedy miasteczko, gdzie przyszedł na świat (i którego później nigdy nie oglądał) stanowiło część bogobojnej monarchii habsburskiej.

POLUDNIOWA AMERYKA

Jak wiadomo, przygod uchodźców, którzy uciekali z jednego kraju do drugiego i wszędzie ziemia paliła się im pod nogami nie spisała na wojennej skorze. Zaledwie przybyli do jakiegoś miasta i rozłożyli swoje manatki, już wszystko „gwiżdżało i kucalo“, jak ktoś zwieże określił wojnę, albo po prostu zaczęli się łapanki i szukać nowych miejsc, gdzieby się schować. Zdałoby się, że ci, którym udało się uciec na drugi kontynent, mają już wreszcie spokój. No, tym to się udało, wzdychali mniej, szczęśliwi ich krewni i znajomi.

Nie kończcie. „Zupełnie to samo było w Berlinie, kiedy Hitler doszedł do władzy. Ale w Niemczech nie miało się tego uczucia napięcia i strachu — przynajmniej nie w tym stopniu, co teraz w Argentynie“ — powiedział dziennikarzowi amerykańskiemu w Buenos Aires Żyd, który uciekł z Niemiec w r. 1938.

Tak, to jest niewątpliwe. Peron buduje totalne państwo według wzorów faszystowskich. Związki zawodowe uczynił narzędziem państwa (American Federation of Labor, która przecie jest mniej lewicowa niż CIO, nie zdołała nawiązać stosunków ze związkami argentyńskimi. Jest za nadto demokratyczna). Niemieckie fabryki samolotów, przeniesione do Hiszpanii w przededniu klęski, niedługo tam popasały. Wkrótce znalazły się w Argentynie. 100.000 hitlerowców zażywa pełnej swobody i oddaje się gorączkowej działalności. Plan Perona: zawiadnąć całą Południową Amerykę, ekonomicznie albo militarnie.

Stany Zjednoczone dotychczas patrzyły na Argentynie z ukosa. Podsekretny stanu Spruille Braden był zaciętym przeciwnikiem tego odrodzonego hitleryzmu. Stany Zjednoczone naciskały na Argentynę, żądając uwieszenia wybitnych figur nazistowskich i w ogóle zaprzestania metod totalnych. Ostatnio nastąpiły ważne wydarzenia, wskazujące na zupełną zmianę polityki.

„Doktryna Trumana“, chociaż poddaje się ją w Stanach coraz ostrzejszej krytyce, nadal działa. Rząd wniósł do Kongresu projekt ustawy o unifikacji typu broni na obszarze całego amerykańskiego kontynentu i o zaopatrzeniu krajów Ameryki Południowej w sprzęt wojskowy z amerykańskiego demobilu. Jest to zapewne dobry interes, ale czy bezpieczny? Pchanie broni do Ameryki Południowej, to

najlepszy sposób na podżeganie do wojen lokalnych i na budzenie ambicji wojskowych dyktatorów. W każdym razie do tego planu potrzebna jest Argentyna (wdzięczny odbiorca), więc następuje zacieśnienie stosunków. Spruille Braden podał się do dymisji. Wprawdzie równocześnie został odwołany ze swego stanowiska ambasador amerykański w Buenos Aires Messerschmidt, przyjaciel Perona, ale to tylko dla przyzwoitości.

Przytaczam rozmowę, jaką odbyłem z pewnym wybitnym Chilijczykiem. Chile jest sąsiadem Argentyny.

— Więc nie obawiać się wpływów politycznych idących z Argentyny?

— Nie. Nasza wewnętrzna sytuacja polityczna jest bardzo dobra. Nasza partia konserwatywna jest demokratyczna i nie znosi Perona. Partia liberalna tak samo. Partia radykalna i partia komunistyczna ściśle współpracują ze sobą. Nie widzę miejsca na jakiegokolwiek faszystowski wpływ.

— Czy waszej partii komunistycznej nie zarzucają, że stoi na usługach Moskwy?

— Czasem się to zdarza, ale każdy widzi, że to absurd. Jesteśmy oddzieleni od Moskwy takimi obszarami oceanu.

— No dobrze, a środki ekonomicznego nacisku ze strony Argentyny?

— Żadnych. Zawarliśmy niedawno traktat handlowy, który jest dla nas bardzo korzystny. Za nasze produkty mineralne oni płacą w dolarach, za ich zboże my w swojej walucie. W skład komisji mieszanej wchodzi 3 chilijskich i 2 argentyńskich. Peron rozpaczał, wie potrzebujemy naszej miedzi i nitratów.

— Wybacz Pan, ale my w Europie mieliśmy bardzo dotkliwe doświadczenia. Zawsze zaczyna się cać-cacy. Kiedy Peron zbuduje swoją potęgę...

— Zapomina Pan, że Chile jest jakby wyspą. Od Argentyny, dzieli nas pasmo Andów, które są nie do przebycia. Dwie przełęcze, dwie linie kolejowe, to wszystko. Z drugiej strony ocean. Od północy pustynia nitratów, która dzieli nas od Peru. Zresztą prowincje argentyńskie, które leżą u podnóża Andów, są zbyt oddalone od gospodarczych centrów Argentyny, dzięki i mało zamieszkałe. Gdyby Peron zawiadnął Chile, te prowincje ciążyłyby ku Santiago, a nie ku Buenos Aires. Podbij Ameryki Południowej to trudna sprawa: ogrom dzikich przestrzeni. Niech Pan weźmie Brazylję. Kilkadziesiąt mil przy brzegu, to wszystko. Dalej dżicz, a jeszcze dalej Amazonas, zielone piekło. Myślę, że nie docenia Pan również elementów demokratycznych w Argentynie, które są silne.

— Kiedy Hitler dochodził do władzy, ludność Niemiec nie składała się wyłącznie z nazistów. Ale być może, że się mylą. Wadą nas, Europejczyków, jest sceptycyzm. Jedno tylko jeszcze zapytanie. Co z naciskami politycznymi Stanów na Chile? Niech Pan nie przeczy (uśmiechnął się), bo wiem.

— Tak, ale nie są one dotkliwe. Zresztą inwestycje amerykańskiego kapitału w Chile przynoszą nam ogromne korzyści. Zdolaliśmy to tak ułożyć, że mały procent zysków odpływa do Stanów. Reszta zysku przedsięwzięcia jest lokowana na miejscu w rozbudowę dróg i w oświatę. Nie możemy narzekać na wyzysk. Że za to od czasu do czasu chcą coś mieć...

Po czym przesyłamy do dyskusji o rodzinie Domeyków. Jak wiadomo Domeyko był ojcem systemu oświaty w Chile, imię jego jest otoczone wdzięczną pamięcią, a ród Domeyków kwitnie po dziś dzień w Rzeczypospolitej chilijskiej.

J. M. Nowak

ROMAN BRATNY

SZMINKA Z HIROSHIMY

Japonki są bardzo malutkie.

Ta wspomniana w moim kraju ani nawet wachlarzyka z płatką śniegu nie dołabaly udźwignąć w upale — jednej ani — kropki.

Auto stanęło za szybą. W reflektorach wiruje śnieg. Widzą ten napis na brzegu stolika benzynowo-blekitne oczy naszej cywilizacji — czerwony tytuł w gazecie: „Nigdy Hiroshima!“

„Hiroshima“ — napis jak szminka czerwony na brzegu stolika — błękitne oczy, i taką szminką namalowane na powietrzu usta — i oto cały portret smutnej Japonki, której już nie ma,

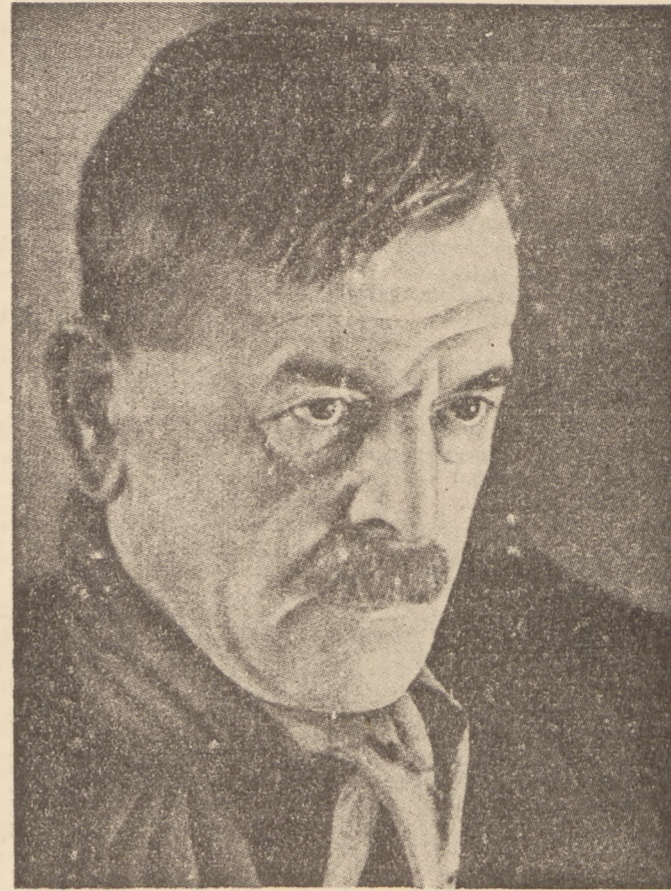
bo nad krainą Wschodzącej Wiśni na drugiej półkuli naciął dźwignię atomowej energii elegancki oficerski półbucik ustom portretu odbierając ciało.

Wargi taką szminką na powietrzu w Warszawie namalowane mówią: Hiroshima miasto ludne, liczące 100.000 mieszkańców bez ciała.

A za oknem kawiarni ruiny w reflektorach i gazeciarszy — przekupień śniegu — wszystkie swoje gazety rozdał na wiadomości o kontroli energii.

STEFAN FLUKOWSKI

C. F. RAMUZ



C. F. Ramuz

Kilkanaście lat temu, w książce „Taille de l'homme“, zmarły przed kilku tygodniami wielki pisarz szwajcarski Charles Ferdinand Ramuz napisał:

„Nie czuję ciężaru lat. Nie mań poczucia starzenia się w sensie fizjologicznym. Mogę włożyć to samo ubranie, które nosiłem dwadzieścia lat temu. Pozostała mi moja dawna zwinność. Oddycham łatwo. Tak, że rozmawiam z młodymi, dwudziestoletnimi ludźmi, jakbym był ich rówieśnikiem, nie łudzac się jednakże, iż podzielają uczucia, jakie odczuwam w stosunku do nich i że nie znajdują w mych ryśkach czegoś poważnego, czego sam nie spozstrzegam.“

Jeszcze w dziesięć lat później nikt nie spodziewałby się jego bliskiego zgonu, tak pełen był świeżości myśli i rzekomości ciała. Wtedy to zdarzył się wypadek, który być może (brak nam dokładniejszych danych z ostatnich lat życia autora „Pastwiska na Dorborne“) przyspieszył jego śmierć. Było to jedno z dziwniejszych wydarzeń, o którego przeżyciach raczej psychologicznych dowiadujemy się z dziennik: Ramuz pod datą 20 kwietnia 1940 roku.

W dniu 18 marca (1940 r.) Ramuz, zaraz po śniadaniu, zeszedł do ogrodu grabić zeschnięte liście zawałające alejki. Dzień był słoneczny, piękny i trwała ta „dziwna wojna“, to znaczy „wojna wycekiwania, wojna niemal bez zabitych“, czas „najbardziej potwornych możliwości“, ale na razie, pisze Ramuz, „wyrzuciłem grabie w przód, ścigałem je do siebie w pewnego rodzaju ucieszeniu umysłu, ucieszeniu odalezionym na chwilę“.

„I wtedy do dostałem tą kulą w żołądek“.

Oto słowa pisarza zanotowane w jego dzienniku, w klinice, przeszedł miesiąc po wypadku. Liczył wtedy sześćdziesiąty drugi rok życia. Stało się to w chwili, gdy nie czuł ciężaru lat, figura jego była szczupła i giętka, oddychał bez

wysiłku. Był młody, palące spożyczenie spoczywało na ołtarzym go świecie badawczo i serdecznie.

Niedaleko Lozanny, w Pully nad samym Lemanem, omywanym falami jeziora Geneewskiego, stoi dom Ramuz, gdzie spędził on ogromny smat swego życia, tworząc swe najgłębsze, najpiękniejsze dzieła. W samotności i ciszy. Z dala od wrzącego toku życia wielkich miast. Izolowany, a przecież najściślej związany z problemami dzisiejszego dnia. Dziwny i niezrozumiały dla własnego społeczeństwa.



C. F. Ramuz

Człowiek niecodziennej prostoty, usiłujący znaleźć i wyrazić tylko prawdę.

„Urodziłem się jako Ramuz i nie więcej“ — pisał około trzydziestu lat temu.

„Oceniano mnie według mego środowiska i sądzę, że nikt nigdy mnie nie znalazł i nikt dotąd nie domyślał się, kim byłem. Otoczenie osądzało mnie wedle siebie, a ja wcale nie byłem tym, czym ono było, o to całe nieporozumienie. Otoczenie zmieszczano, a ja nie należałem do burżuazji“.

„Oceniano mnie wedle nazwiska nie mającego już zupełnie żadnej treści; przeciętne nazwisko lub takie, które co najmniej stało się przeciętne. Szukam intensywności, idącej z głębi. Czy kto zrozumie znaczenie, jakie nadaję temu słowu?“

W tym krótkim wyznaniu zawarłta jest cała postać Ramuz, jako pisarza, zakreślone przezeń granice własnej świadomości jako myśliczela, artysty i obywatela w życiu własnego narodu. Ramuz koncepcjami swymi zaskakiwał i wytrał z równowagi własnych todków. Wystarczy tu wspomnieć wielką dyskusję, jaką na krótko przed wojną wywołał swoją opinią, że naród szwajcarski jest niejedynolity „narodowościowo“. Szczególnie w alemańskiej części Szwajcarii polemizowano z nim zawzięcie. Brali w tej dyskusji udział nawet członkowie Rady Związkowej czyli Rządu (m. i. obecny prezydent Szwajcarii dr Filip Etter).

Samotnik z Pully potrafił pobudzić unyśły działaczy i polityków swą ostrą nie znającą kompromisów myślą.

Pisarz, jego zdaniem, winien podniecać, stawiać zagadnienia, budzić wątpliwości i scalać je w syntezę światopoglądu. Nie jest obowiązkiem pisarza i literatury praktycznej rozwiązywać aktualne problemy swego społeczeństwa. Jego zadaniem jest dostrzec je, zanim inni je dostrzegli; przeżyć i opisać. Zanim inni, to uczynili; postawić dia-

gnozę. Wstrząsnąć leniwą świadomością współczesnych.

Aby to sprawić C. F. Ramuz nie szukał nic innego prócz owej intensywności. W tym celu celu serwarował się od zgłębienia wielkich środowisk w swoim małym kraiku rodzinnym, w kantonie Vaud. Troška o los bliźniego zaciężyła nad domem w Pully, położonym u stóp niebotycznych gór, nad brzegiem wspaniałego jeziora Troška ta rośla gwałtownie w miarę lat, w miarę zbliżania się nowej wojny.

Najznamienitszym jej wyrazem były trzy książki, które uczyniły Ramuz, czołowym humanistą europejskim. Były to „Taille de l'homme“ (Miara człowieka), „Questions“ (Pytania) i „Besoin de Grandeur“ (Potrzeba wielkości) — zbiory rozważań, ujętych w specyficzny, Ramuzowi tylko właściwą formę poetycko-publicystyczną.

Świat — pisze Ramuz — znajduje się we władaniu olbrzymich ideologii, poruszających masę: — tu piramida liberalizmu odwrócona, stojąca na swym wierzchołku bez podstawy, twór dziwny i niepokojący, gdzie indziej cywilizacja maszynowa, rozpędzająca obrzymie szybkości, stojące w dysproporcji do biegu życia setek milionów chłopów, ludzi prowincji całego świata, w dysproporcji do życia wewnętrznego człowieka, jego moralnych imponderabilii. I jeszcze twórczy ferment rewolucji rosyjskiej i komunizmu, spraw wnoszących nowy aspekt w życie ludzkości.

Patrzcie, powiada — oto maszyny rozwijają przerażającą szybkość setek kilometrów na godzinę, gdy chłop na wsi potrzebuje całego dnia, aby pokonać przestrzeń trzydziestu kilometrów. Tę jeszcze dołają na świecie nie było, to dopiero nasza epoka znalazła się w obliczu takich dysproporcji. A produkt najwyższej wnikliwości umysłu ludzkiego, jak samochody czy samoloty, czyż nie oddano ich w ręce ludzi, ras i narodów, które nie przeżyły tych wszytkich form rozwojowych, jakie przeszły społeczeństwa, wydające na świat konstruktorów tych maszyn?

Z okien swego domu przygląda się bacznie robotnikom pracującym przy kanalizacji. Słodzi uważnie każdy szczegół ich życia, granatowe robocze ubrania, sposób bycia, jak jedzą, jak rozmawiają, jak się poruszają. Są jego największą troską i przedmiotem zachłannej ciekawości. Mieszka nad wielkim jeziorem i zna rybaków, ich trudny żywot, przejrzystą symbolikę ich zajęć. W „La Beauté sur la Terre“ (Gdy piękność zagąca na ziemi) obok oberżysty, szweca i robotników, on są głównymi bohaterami powieści. W „Pastwisku na Dorborne“ występują pasterze i chłopci dalekich górskich odłudzi. Wszędzie w jego powieściach ubogi człowiek walczy o życie z naturą i przeciwnościami losu.

C. F. Ramuz, który w swoich essayach filozoficznie - społecznych wyszedł na poszukiwanie szerokich horyzontów, ukrytych w problematyce współczesnej mu epoki, w powieściach skierował się ku najprostszemu zagadnieniu ludzkim, w swojej prostocie równym ułeciom wielkich tragiczków starożytnych Grecji.

Z cichego zakątka Szwajcarii odszedł jeden z największych mistrzów współczesnej prozy francuskiej, wspaniały humanista.

Stefan Flukowski

ROMAIN ROLLAND

COLAS BREUGNON

tłum. Fr. Mirandola

z ilustracjami M. Jurgielewicza

CENA ŻŁ 550.—

Spółdzielnia Wydawnicza

„W I E D Z A“ K 186-1

KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

SPIEW Z POŻOGI

z przedmową K. Wyki

str. 254 — zł 600.—

Utwory młodego utalentowanego poety poległego w powstaniu warszawskim

Spółdzielnia Wydawnicza

„W I E D Z A“ K 107-1

WOJCIECH ŻUKROWSKI

ŻOŃA

Gdy wymykam się z domu, niepewny jak uczeń, który jeszcze nie odrobił lekcji na dzień następnym, przyrzekam żonie, że powrócę zaraz, nie będę w zamierzonej dzielnicy dłużej niż kwadrans. Naprawdę idę tylko poddychać zmirzchem. Ale choć mam mocne postanowienie, zawsze niespodziewane wypadki zatrzymują mnie długo. Wskazówki zegarów, skoro je tylko spuszczę z oka, obracają się pociągają, kradnąc mi czas. Spozrzęglisz, że się spóźnię, że już dawno minęła godzina zapowiedzianego powrotu, porzucasz towarzyszki, urywam zaczęte zdanie i ruszam biegiem ku domowi świecącemu przez młode liście czerwonej dachówki. Zadyszany wpadam na zonę, wypatrując mnie u żelaznej furtki. Czuję, że cały wysiłek, młotni w uratowanie tych kilku minut, nie zdał się już na nic. W jej olowymym spojrzeniu zgaduję ogrom strwonionego czasu. Jakam się, z wyiekami na twarzy, próbując się wytłumaczyć, ale jej lekceważące, a zarazem pobłażliwe spojrzenie zamyka mi usta.

Ze zwieszonymi ramionami wstępuję za nią po schodach. Wyprzedza mnie, zapalając światła. Czuję się ogromnie winny i bezradny zarazem. Kroczymy w milczeniu. Wiem, że jej nie przekonam, bo i wam trudno byłoby uwierzyć w wydarzenia, jakie zaskoczyły mnie wczoraj.

1. ŚWIĘTO GRANIC

Wyszłem jak zwykle wczorajem, na krótką przechadzkę. Ale już za rogłem wmaszałem się w tłum młodzieży. Nad głowami grzywiasto parskali pochodnie. Pochód zmierział za orkiestrą, stercząca daleko w przodzie miedzianymi trąbami. Melodię miała głośny tryl szpaków. Tuż nad mianiem niósł się pomruk bębna, który twardo osadał nogi. Głowy rozmywały się w niewielkich plamach światła. W zapadającym zmirzchu tłum gęstniał, już nie posuwano się naprzód, ale tylko w takt bębna drgano w miejscu.

Zapytałem kroczącego przy mnie młodzieńca: — Coż to za uroczystość?

Białka błęsnęły mu czerwoną spod szerokiego randa kapelusza.

— Dziś obchodzimy Święto Granic — odpowiedział dumnie i pchnął mnie ramieniem, bym nie wystawał z szeregu.

Byłem zaniepokojony rozmową, jaką odbyłem z Dyrektorem Instytutu. Zakwestionowano nam granice. Gdy wspominałem mu o zapowiadanych demonstracjach ulicznych, wruszył tylko ramionami mówiąc:

— Coż mi jestesmy wobec tych potęg, drobnoustroje! Nasze wiecie będą im brzęczeć w uszach jak owady...

— Ale Francja nas popiera — wykrzyknęłam przekornie.

— Może i jest życzliwa, ale dotąd nie ma dowodów...

Wleciono nas długo po nocy. Spróbowałem się z cizby wydostać, ale nie powiodło mi się, nawet nie wypadła. Byłem trochę oczadziały i senny, bo gęste dymy pochodni przysnuwały twarze welonami laskoczącymi jak niesione wiatrem babcie lato. Wreszcie zaczęliśmy się wlewać do ogromnego budynku. Od głównego nurtu cienką strugą odpryskiwali chłopcy, którzy chcieli uprzędzić czoło pochodu i gnali teraz wewnątrz, krętymi schodami. Pobiegłem za nimi. Spirala była wyłożona śliskim marmurem, różowym jak wnętrze muszli. Mimo gwizdów i krzyków sztywniejszego huzenia tłum zasilający się w głównej sali. Ciepłe tchnienie z wioną jedyną chuchało ku nam z góry. Szadziłyśmy w głąb coraz wyższych korytarzy wznoszących się kondygnacjami.

— Zupełnie jak we wnętrzu ucha, uśmiechnięta się, dotykając gładkiego kamienia, ciepłego od rur biegnących spodem.

Z niewielkiej sali, do której wbiegłem, widziałem blisko podium scenę przystygniętą sztandarami. Szych palił się czerwonym złotem. Niziej była przepaść pełna dymnego światła. amfiteatralny lej gęsto nabity gwiazdami. Gdzieś tam jak szkiółki leśne, zieleniły się porporczyki organizacji.

Chłopcy za mną jeszcze wpadali krzycząc i zaraz miłki, oniesmielenie: bliskością mówcy. W wielkim tchnieniu tłumy orły poruszały skrzydłami, ognie przechodziły po przybrudzonych haftach.

Znudzony, wsparłem się o stół i zacząłem przewracać karty dużego albumu. Leżał pośród rozrużonych, nierozczepionych pism. Duże strony z brązowego zamszu pokrywały rysunki dziwnie mi znajome. Kobiety z wazonami, liście akantów, jakby u wite z białego drutu, ale uderzające czyste mimo ciężkawy ciała. Nachyliłem głowę, przypatrując się uważnie.

— Interesujące co — szepnął mi ktoś przez ramię. Był to siwawy mężczyzna. Iskiarki światła zapalały się mu na szczerokie wąsów. Światło wlewało mu się od czoła i jaśniało dwoma smugami z dziurek wydawnego nosa. Widziałem go od środka, twarz mu śmiesznie odstawała. Uśmiech mój wziął za przytaknięcie, bo szepnął: — Picasso! Niech pan patrzy, Francja nam sprzyja!

— To była jedyna droga, by przemycić ich aprobatę pod okiem Potęg — tchnął mi w ucho ostatnie słowo. — Czy pan rozumie wagę tego dokumentu?

— Wspaniale — entuzjazmowałem się — ale dlaczego to tu leży? — W świetlicy? — Wskazałem na chłopców, którzy teraz wyprostowani otwierali usta szeroko, jakby poijkli słowa Pieśni. — Przecież oni będą oglądać i poniszczą?

— Właśnie, że to leży dla nich do oglądania, nikt tego nie tknie. Cóż to, nie zna pan Polaków? Jeden powiedział, że to patrony kawalkieckie, omijają więc stół z obrzydzeniem. Tu właśnie dokumenty są bezpieczne, nawet Potęgi — syknął — nie domyśla się ich istnienia!

Do nikłego śpiwru grupy stojącej przed nami wpadał, spóźniony o pół taktu, potężny grzmozł chórów rozsiadłych w amfiteatrze.

— Pan chyba wie, że nie jestem tym, na kogo wyglądam — mruczał, przylgając mi się z nieruchą chomą twarzą.

Teraz zobaczyłem, że odstaje mu maska. Pod nią formowały się rysy, które już miałem rozpoznać, gdy nagle pieśń, jakby teraz dopiero znalazłszy drogę do mnie, zakolysała mną mocno:

„Do uszu będziemy Potęg wciążyć wołać — drobnoustroje, nie kupia nas laurem ni złotem nie ulekniemy się wojen...”

Chłopcy przy słowie „drobnoustroje”, zwłaszcza ci starsi, mrugali do mnie porozumiewawczo.

— Dzielne chłopaki! Wspaniali chłopcy! — chrząkał, przysianając chustką wargi pełne światła, człowiek o niedokończonych twarzy. — Takich nam potrzeba, żeby krzyczeć wprost w ucho tym...

Przewodniczący właśnie skoczył i przepychał się w moją stronę. Zadrżałem, gdy połżył mi rękę na ramieniu. Czuję odrzuty do publicznych wystąpienia, ale gdy szepnął: — och, Woitku, Woitku, przecież jesteś rozpoznany. Czemu udajesz, że cię nie ma? — zapytałem pokornie: — o czym mam mówić!

— O twoich walkach w Maquis. Tylko pamiętaj przychylnie, bo Francja z nami! Postąpiłem krok naprzód, potknąłem się, podtrzymałem spojrzeniami całego amfiteatru, pełnego uniesionych ku mnie twarzy, dobrnąłem do stolika i zacząłem mówić:

— Zaledwie znalazłem się w Paryżu, ruszyłem do tego handlarza gorących kasztanów. Gdy poprosiłem o torbę, sięgnąłz krzywym uśmiechem pod ładę i wetknął mi w rękę rewolwer.

— Nie znam tego systemu — westchnąłem obejmując rękojeść bezradnie. Wtedy handlarz bez słowa odwrócił się, uniósł ręce jakby chciał wdrapać się na półki. Na plecach między wyprostowanymi łopatkami miał naszytą białą ładę z nadrukowaną po angielsku instrukcją. Choć nie odezwał się ani słowem, pewnie nie chcąc się zdradzić, nie mogłem sobie wychodząc odmówić sztycherce — Goodnight!

Natychmiast pochwylił mnie łącznicy. Przynagli do pośpiechu. Niektóre uliczki przebiegaliśmy, dopiero widok wiekszych grup ludzi, idących nam naprzeciw, zmuszał do zachowania pozorów bezróżnego spaceru.

— Z nimi; nie można dyskutować — szepnął jeden z towarzyszy. Wiedziałem, że ma na myśli Niemców.

— Ani mi to w głowie! — odpowiedziałem pośpiesznie.

— No, teraz masz argument, który im trafi do serca! — wykrzyknął drugi. Ujęli mnie pod łokcie i prowadzili jak biskupa w czasie procesji.

Wrzucano mnie do samochodów, zacierano ślady, zanim zdążyły powstać. Imponowali mi ostrożnością, nie znalazłem jeszcze tej metody. Wreszcie za jednym z rogów wchpięto mnie na zmierzającego naprzeciw wysokiego mężczyznę. Gdyby nie gumowy szary płaszcz, nawet nie wziębym go za Niemca. Chciałem się jeszcze upewnić, ale towarzyszy nie było. Więc przyrmuzając oczy w oczekiwaniu huku naciągającym spust. Szeroka łufa rewolweru beżgłośnie wydłżyła się i dźwignęła Niemca w pierś. Leżał jak manekin. Buty miał na podszewki niezadępane, nowe, między palcami a obcasem świeciły się jeszcze.

— Naktuwacz Simponi jest niezawodny! — krzyknął z zachwytem nadbiegający Francuz. Nazwa, pełna przesady właściwej Amerykanom, budziła we mnie politowanie.

Znowu nie dano mi spocząć. Znowu sprzątnęłam kogoś. Członkowie organizacji zjawiali się, gdy już było po wszystkim. Łapali za nosy Niemców, leżących brzuchami do góry i potraszali, chcąc się upewnić, że już nie żyją naprawdę. Potem porywali mnie i wlekił dalej.

— Brave Polonais! — posykiwali, klepiąc mnie dyskretnie. Byłem już głodny i spragniony. Wydarłem im się z rak i wbiegłem do pobliskiej bistro. Natychmiast powstał tam popłoch Kelnerych wymachiwał serwetami, na których plamy rozlane go wina błyskały trikolora. Brałem to za ować, dopóki jakaś staruszka, dotąd wymiatająca talerz skórą z chleba, nie poderwała się i gdacząc jak spłoszona kura przesadziła stół z porzucenymi aperitifami. Na moment załszyły jej pocerowane majtki odbite na marmurze stolika.

Knapka opustoszała. Sam właściciel wysunął się zza lady i odgradząc się podawaną mi w kocykach palców butelką, błagał bym lokal opuścił i nie narażał ich na zgubę.

— Ale już wpadli za mną konspiratorzy. Widać miałem jeszcze kogoś na rozkładzie. Zagulgotali coś do szefa, który wydarł mi butelkę, a wetknął inną odkorkowaną, pachnącą z daleka octem.

Choć wiedziałem, że są w niej zlewki wina z całego dnia, przyjąłem ją z wdzięcznością. Już grzmiała opuszczana żaluzja, z trudem przycisnąłem się pod nią na czworakach. W tej ponizającej pozycji szarpało mnie za nogi, przynaglając do pośpiechu. Z butelki, którą nachyliłem ku wargom, wyleciało mnóstwo rudych muszek fermentacyjnych, więc odwróciłem ją ze wstrętem.

Znowu zastrzeliłem kogoś. Odbywało się to zadziwiająco łatwo i higienicznie. Potem z auta wepchnięto mnie do przepelnionego wagonu Metro. Stoczeni ludzie klepli. Byłem już umęczony, mrok i światła reklam były po oczach, przymknąłem powieki. Gdy otwarłem je zaniepokojony ciszą, spostrzegłem, że jestem sam, a w drugiej połowie wagonu tłoczyli się pasażerowie. Rece unosili nad głową, twarze mieli lśniące od lez.

— Tchórzliwy naród, ci Francuzi! — pomyślałem. — Czego oni się boją? Nagle zobaczyłem, że trzymam rewolwer na wierzchu, zwrócony ku nim łufą. Zawstydzilem się. Wścieki wyskoczyłam na najbliższej stacji. — Eksploatuję mnie do ostatka — dęsałem ze złością.

— Cierpliwoci! Jeszcze chwileczkę — błagali łącznicy, którzy mieli widać słabsze nerwy, w zmieniano ich stale. — Zaraz pan odpocznie!

Podrzucano mnie autem pod wielki gmach. Ulice były opustoszałe. Pozwalano mi bezkarnie szaleć. Byłbym teraz strzał do każdego, kto mi się pod łufę nawinie. Chwiejąc się ze znużenia, wstępowałem na schody.

Naprzeciw mnie biegł gromadą Niemcy.

Sięgnąłem po niezawodny Naktuwacz, ale próżno przetrząsałem kieszenie. Musieli mi go porwać towarzysze, którzy zawczasu się ulotnili.

Dokoła slyszalem głosy: Fou Polonais! A to — fou — brzmiało zupełnie polskim obrzydzeniem. Czulem, że mnie wydano, gdy tylko odwaliłem robotę, by na miasto nie spadły represje.

Zatrzaśnięto za mną drzwi celi. Podszedł do mnie człowiek w angielskim mundurze.

— Pan jest Polakiem — zapytałem? — Nie. Jestem Serbem.

— Pana też nabrali? — Oni najchętniej Słowian, bo jeszcze krew mamy w żyłach. O, niech pan posłucha! Cicho... — szepnął, przykładając ucho do ściany. — Ale odychał!

Nadsłuchiwałem. Pod policzkiem czulem szorstkość zimnego muru, a za nim lagodny szum, jak przyplły z morza.

— Kto to? — A ktoś by? Francja! Już spokojna, że nowego wariata udło im się pozbry. Swoje zrobił, może siedzieć.

Rzeczywiście poznawalem — wyraźnie odychał za ulgą.

2. POWÓD

Oczywiście żona nie uwierzyła w mój dżdział w nocnych uroczystościach. Ządała dowodów, których, prócz wymownego zalamania rak, nie mogłem dostarczyć. Rozgniewana spóźnieniem, rakażata następnego dnia trzymać mi się w pobliżu domu. Mogłem sobie najwyżej pochodzić naszą zadrzewioną uliczką.

Przyrzekłem posłuszeństwo i ucałoważy jej palce, wysunąłem się lekko za furtkę. Przeszedłem się kilka razy pod nierozprostowanym wiosennym listowiem strzyżonych kuliscie lip, ale cały czas pamiętałem o zakazie. Myślałem z niepokojem o żonie, choć nie bez podziwu, że nie wierzy w Potęgi, drwi z Granic, no i żąda dowodów. Może nawet na swój sposób ma słusznosc, ale nie chciałyśmy się stać dowodem, który by ją zmusił do wierzzenia...

Tak myśląc, uśmiechałem się przekornie i z oczami zmrużonymi w zachodzącym słońcu, nawet nie zauważyłem, jak minąłem narożnik i zapędziłem się w sąsiednią uliczkę.

Teraz było mi już wszystko jedno. Przyspieszyłem tylko kroku, by dojść do następnego skrzyżowania i zaraz zawrócić. Bliski cel wderówki łączył przyjemność przekroczenia zakazu ze spokojem, że na czas niezauważony powrócę.

Na lewo wznosiły się fasady zniszczonych wojną budowli. Niebo przelewało się przez okna wraz ze stadami jaskótek, które gnieździły się pod resztkami dachów nie rozrzuconych wichurą. Przez potamane krokwie strychów, podobne do ości rybich, przeświecało różowujące słońce.

Tu i ówdzie widać było próby porządkowania, ceży ułożone w stosach, przymy podwiezionego piasku, walały się sterty świeżo tartych desek. Ale robotników brakowało. Łopaty tkwiły krzywo w rozrobionym wapnie, taczki zasyżę z kółkiem na progu, jakby ludzie po pierwszym zapale, z jakim rzucili się do odbudowy, ogarnąwszy bezmiar zniszczenia, zastępy wawozy wypalonych ruin — wymknęli się pojedynczo, porzucając beznadziejnie poczęte prace.

Ale gdzieś w środku popieliska zaczynało się życie, bo widziałem jakby trochę z góry ścieżki wydeptane przez rumowisko, świeżo wyrzucone oierzyny, nie porzdewiale jeszcze puszek, a nawet dym wysunął się z jakiejś cudem ocalołej oficyny.

Przed rozwaloną bramą stała kobieta z rękami splecionymi pod fartuchem. Twarz miała wąską i fanatyczną. Gdy mijalem ją, przypatrywała mi się natarczywie. Widząc jej siwiejące włosy upięte ciasno, ubogie suknie i fartuch polatany, ale czysty i sztywny od niedawnego kroczenia, pomyślałem. że jest jedną z tych, którym próba o wsparcie nie może się przeciśnąć przez zesnurowane dumą wargi.

Sięgnąłem do kieszeni i nie chcąc jej zawstydząć spojzeniem, odwracając głowę podalem pieniądze. Nie spodziewanie pochwyliła mnie za rękę. Staliśmy chwilę — ja zaskoczony, a ona z ustami rozchylonymi jakby w poszukiwaniu najtrafniejszego słowa. Palce jej zaciskały się na mym przegubie. Wreszcie wykrzyknęła: — Tak długo czekałam na pana! Wczoraj pana widziałam w pochodzie, ale trudno się było dościskać... Ja muszę panu powiedzieć, Potęgi ukradły mi dziecko!

Dreszcz mną wstrząsnął, nadspodziewanie poruszyła mnie ta wiadomość. Kobieta teraz oparła się o mnie i szepnęła wprost w ucho: — Odnalazłam miejsce, gdzie on więźą dzieci!

— Daleko stąd? — zapytałem, gotując się do walki. Czulem, że jej sprawa nabiera jednoznaczności, stając się i moją.

— Nie, to naprawdę parę kroków! Ja pana zaprowadzę. Tam jest budka telefoniczna, w niej trzymają maleństwa od siedmiu lat.

Natychmiast pomyślałem, że mam do czynienia z szaloną. Przecież przed siedmiu laty nie było telefonów. Jeszcze nie wypowiedziałem głośno tych wątpliwości, gdy kobieta parsknęła: — Pewnie, że nie było. Ale wszystko się uwspółcześnia! Dawniej była tam kamienna wieża. Dziś budka telefoniczna mniej zwraca uwagę, wystarczy kartka z napisem: „TELEFON NIECZYNNY Z POWODU USZKODZENIA”. A wstęp do środka ma tylko wysłannik Potęg w czapce kontrolera sieci.

Popatrzyła tak na mnie okiem pojaśniałym z bólu, że odrzuciłem niewczesny śmiech.

— Jeżeli mi pan nie wierzy, niech pan posłucha!

Staliśmy właśnie pod słupem telefonicznym.

— Która teraz godzina? — zapytała przez kry.

— Siódma trzydzieści.

— Właśnie pora karmienia. Nie słyszysz pan?

Rzeczywiście w brzęczeniu drutów łowilem kwilnie spragnionych pokarmu niemowląt.

— Ale jak to może się tak długo utrzymać w tajemnicy? — wahałem się jeszcze.

— Ja panu pokażę, — powiedziała, ciągnąc mnie w zawałona gruzem ścian spalonego domu. Powiodła mnie krętym szlakiem między ruinami. Przechodziłszy pod na wpeł zapadniętymi stropami, by przeciśnąć się na podwórza, gdzie podobne do zachwaszczonych grządek zieleni się bujne stare gropy. Kobieta mówiła pośpiesznie:

— No, teraz zwrócił mi syna, ale pan rozumie, już jest duży! I choć mówią, że ten sam, nie wierzę! Gdy widzę na poduszce samą głowę, jeszcze mogłabym się dopatrzyć podobieństwa... Ale nogi... To jest ogromne chłopięsko, choć bawi się kluczem francuskim jak grzechotką. Oni ich w Ameryce sztucznie dorastają...

W małej izbie, do której mnie wprowadziła, otwierając drzwi z wielu zamków, była tylko kuchnia nakryta gazetami. Na niej stały oparte o ścianę zakopcony smugami — fotografia niemowlęcia w czepku, grzechotka długie krawieckie nożyce o spiczastych ostrzach i zdjęcie mężczyzny w kombinzonie, trzymającego klucz francuski jak berło. Rzeczywiście nie byli do siebie podobni. Okna częściowo przysłonięte dyktą, za brudną szybą w czerwonej łunę zachodu przewalały się kłęby dymów.

Pomyślałem: — Cała sprawa jest dość niejasna. Zna nigdyby nie uwierzyła w istnienie wysłannika Potęg, w porwanie dzieci... Musiałaby meć pewniejsze dowody, prócz zabawnej wystawy na wystyglm pięcu kuchennym.

— Dobrze — powiedziała kobieta — jeśli to za osobiste, pokażę panu budkę telefoniczną. Podkopałam ją z jednej strony, widać stare fundamenty wieży.

Wyszłem. Stróż, oparty na miotle, oczyścił jedną osmą podwórza, znać było na ziemi ślady zdartych rózg.

— Panie — skorzystałem, że kobieta mnie wyprzeżyła — jak naprawdę z jej synem?

— A co ma być? — poruszył wami. — Wrócił z Ameryki i jest mechanikiem, tam, w odbudowanej fabryce — pokazał miotłą na dymy, rozmazując je po niebie, aż pościemniały nagle. — Pewnie, że jeszcze żadne niemowlę nie znało się tak na ślusarce, więc trudno starej uwierzyć...

— Niech pan chwilę zaczeka — prosiłem go. by nie przyspieszał wietczoru — ja zaraz wracam... — Skoczyłem za znikającą kobietą w otwór wybity pociskiem.

W cieniu wypalonych ścian zmirzch gęstniał niepokojąco szybko, przypominałem sobie godzinę powrotu. Zadrżałem — przekroczyłem zakaz.

Bardzo przepraszam — zwróciłem się do kobiety — ale już muszę wracać do domu!

— Dom pan ma o parę kroków! Nawet strząd widać. Rzeczywiście przez rozprutą ścianę widziałem zielen ogrodów w oprzędzie rudawych promieni i dach mego domu. Pewnie zatoczyliśmy koło w rumowiskach, bo było naprawdę blisko.

Gdy odwróciłem się, za mną zlewał ślepy zaułek, z którego dymiała noc. Na środku placu stała budka telefoniczna. Naciąłem kłamkę, było zamknięte. Nadsłuchiwałem chwilę, z wnętrza pełnego sadzy dochodziło zduszone brzęczenie. Uprzedzone o naszych podejrzaniach Potęgi usunęły dzieci, zostawiając jedynie mechaniczne głosy, zbliżone do dziecięcych. Nie dalem się wyprowadzić w pole. Szybko ukleknęłam, wsunąłem rękę w okopany narożnik. Pod cegłami podmurowania namacałem ciężkie fundamenty. Tak, był to charakterystyczny ciosowy kamień węgielny, nawet z tabliczka. Końcami palców wyczuwałem litery — nazwiska fundatorów i dostojników, którzy objeli protektorat budowy.

Klejąc tak głowilem się, kto mógł klasć swe nazwisko na kamieniu węgielnym pod budkę telefoniczną? Gubiłem się w wątpliwościach. Już byłem skłonny uwierzyć kobiecie. Ale ja się nie liczę, zbyt łatwo ulegam sugestiom... Żona wymagała, by innych dowodów, prócz tych murowanych, które namacałem w ciemności. Ciężko by jej się było pogodzić z Potęgami, porwijającymi dzieci... Nie wierzyła w Granice...

Wtedy kobieta poruszyła się, nie widziałem tego w wilgotnej ciemności, ale jestem pewny, że odgądiem nieomylnie. Usłyszałem tylko furkot nakrochmalonego fartucha, spod którego dobyła nożyce i z nieoczekiwaną siłą wbiła mi głęboko w ciemię. Długie ostrza musiały trafić na jakieś druty w głowie, bo oczy zapaliły mi się zielono. Pochylając coraz niżej czoło oświetlałem rozgrzebaną ziemię, zdeptyany okurek papierosa, szklisty ślad ślimaka. Potem już widziałem tylko ziarnia piasku, okruchy muru, aż zabawne z bliskości paru milimetrów. Świata zgasyły, gdy z suchym trzaskiem łamały mi się rzeszy i piasek przylepił się do otwartych źrenic.

— No — myślałem powoli — teraz będziecie musiały uwierzyć, że były powody, dla których się spóźniłem na kolację... Uznasz Potęgi, Granice i śmieć... To ostatnie już było we mnie, bo czulem jak sztywneję na dowód.

3. ZWYCIEŚTWO

— Wstań mi w tej chwili i chodź do domu — powiedziała żona, dotykając mego ramienia.

Podniosłem się oszolomiony i posłuszenie poszedłem za nią. Z uwiebieniem słuchałem jak drwiła z Potęg, Granic i Śmierci.

— Nie rozumiem — mówiła surowo — co cię kusi, żeby odchodzić tak daleko, skoro wiesz, że trudno ci będzie powracać. Ale pamiętaj, że ja cię zawsze odnajdę i przywrócę... Przede mną się nigdzie nie ukryjesz.

Gdy następnego dnia wyszedłem późnym popołudniem do ogrodu, na co zezwoliła mi w drodze łaski, byłem naprawdę niespokojny. Cóż nowego miało mnie spotkać? Wiedziałem, że walka rozpoczęta przez moją żonę z Potęgami, musi być rozstrzygnięta. Lek mnie ogarniał, gdyż coraz bardziej stawałem się przedmiotem, którego posiadanie było dowodem triumfu.

Chodząc po trzysiatku wygracowanych ścieżkach. Drzewa przekwitły i malutkie, pokryte srebrnym puchem owoce poczynają się wiazać. Na nikłych kwiatkach agrestu mruczały zadowolone pszczoły. Powietrze było pełne zapachu pleniącego się bujne zielska.

Przechodząc, gaskałem koćkami palców nieznane mi kwiaty, które otwierały przy dotknięciu charcie pszczerki, udając, że chcą mnie kąsać.

Zródłem siły mej żony było niezrozumienie, nie ogarniała mocy przeciwników, opancerzona wiara w swą przewagę, w której umecniała ją moja pokora. Nie dopuszczała do siebie żadnych wątpliwości. Właściwie byłem w rozterce. Nie widziałem komu bardziej sprzyjam. Pragnąłem jej zwycięstwa, ale i myśli, że Potęgi mogą ją upokorzyć miała swój urok i słodycz.

Dlaczego małżeństwo nasze jest nieustannym zmaganiem, myślałem gorzko, stojmy w mocnym uścisku jak gladiatorzy. Miłość ukazywała mi teraz drugie oblicze, wargi podane do pocałunku teżyły władczo.

Czyż nie mogłoby być tacy, jak inni? — szepotałem z żalem, ale nie bez dumy, jaką mi dawała pewność pomazańca. Zapłótszy palce w drucianą siatkę ogrodzenia, za zdrowie, ale i ze wzgardą zarazem spoglądałem na idyllę u sąsiadów.

Siedzieli przy spóźnionym podwieczorku pod plączącą wierzba, żółta od trzkwitych kotek, tworzącą nad nimi cienistą jaskinię z ruchliwej plecionki. Mężczyzna był bez marynarki, w szelkach, zablę

rał się właśnie do gazety. Kobieta karmiła lyczekką dziecko, które odwracało duże oczy na różowe blaski chodzące po konarach Opóźniało każdy kęs, czując, że z ostatnim skrobieniem po pustym talerzu matka zepchnie je w ciemnicę snu.

Nagle spostrzegłem, że gałązki plączącej wierzby poczynają się rozchylić jak parasol. Gdy leżały zupełnie poziomo, poczułem, że światł jest mi unieść nogę, niż oprzeć ją na zruszonej ziemi rabatki. Uczepiłem się mocno obu rękami siatki i z rozszereżonymi zdumieniem oczami wpatrywałem się w nową sztukę Potęg, gdyż zgadywałem bliską próbę. Była trzecia, decydująca.

Podniosłem głowę. Niebo zrobiło się bebrzężnie puste. Obloki rozwinęły się, a gwiazdy odbiegły u wolnione z orbit. Niebo miało niebieskość urzekającą, nad ziemią jeszcze przejrzyście, ale gdy sięgałem głębiej, ciemniało w ssący granat.

Zobaczyłem że zgroza, że sąsiedzi unoszą się z krzesłkami i poczynają, wzdłuż gałązek wierzby sterczących jak lej wywróconego wicheru parasola, ulatywać coraz szybciej w górę. Kamienie zrywały się z trawy jak ptaki. Zrozumiałem — ziemia przestała przyciągać.

Zacisnąłem kurczowo palce na siatce ogrodzenia. Powoli i mnie odwracało. Więc to jest koniec świata! Rozszadzała mi serce dumna świadomość, że mogę tak spokojnie i prawie z zachwytem przyglądać się zszaleństwu żywołów.

Sąsiedzi odlecieli już daleko, zapadli się w niebo, oddalając równocześnie od siebie. Rosła odległość między otwartymi ustami dziecka, a wyciągniętą ręką matki, zbrojną w ostatnią lyczekką grysiuku. Przysnuwała ich błękitnawa mgła. Wiedziałem, że ta straszliwa czeluść nad nami jest dostatecznie pojemna, by nie spotkali się więcej.

Ptaki zlatywały ku ziemi. Młóciły skrzydłami po grządkach próbując się utrzymać, ale jak skwronki u szczytu swego lotu zawiąły tylko chwilę nad kwitnącymi truskawkami i opadały sianbą w granat nienasyconego nieba.

Dachówki poczęły się podrywać z sąsiedniego dachu. Jak liście wzbity się chmurą. Nie! Nie jak liście, bo lot ich był prosty i nieomylny.

Pobliski staw wzdął się ogromną banią, jakby oko zapałało pośród łoz, ale już rozszalał się w tęczową chmurę kropel, która rozplynęła się bez śladu.

ARTUR SANDAUER

O POEZJI JASTRUNA*)

Kiedy w XIX-wiecznym Paryżu obok czynnego jeszcze Victora Hugo zyl i tworzyli już Baudelaire, później Rimbaud i Mallarmé, czytelnikom ówczesnym zdawać się mogło, iż są świadkami współistnienia światów psychicznych tak odmiennych, jak gdyby nie parę ulic, lecz stulecia je dzieliły. A jednak ci na pozór tak różni artyści porozumiewali się z sobą, o ile wiemy — niezgorzej, miewali nawet wspólnie upodobania. Czyżby tedy — zamiast odrębności ich sztuki — przypisywać mitycznym i niesprawnym bliżej różnicom duchowym — nie należało jej raczej tłumaczyć bardziej uchwytą noz maitością technik artystycznych? Pokusimy się o definicję...

Zapewne, generacja romantyków była bardziej epicka: w utworach symbolistów, jak na płótnach współczesnych im malarzy impresjonistów, anegdota coraz bardziej ustępuje miejsca nastrojom i opisom, pejzażowi i martwej naturze. Lecz to nie wyczerpuje różnicy: pisano wiersze liryczne, malowano krajobrazy i dawniej. W okresie przedsymbolistycznym granicę między epiką a liryką stanowił głównie tematyka: tam przeżycia zewnętrzne, tu — osobiste. Lecz — łowy czy tęsknota — przedmiot w obu wypadkach jest równie stały i określony. Uczucie, wyrażone w dawniejszym wierszu lirycznym, istnieje niejako poza nim, już poprzednio nazwane i zlogizowane przez autora. Moment tworzenia jest tu zewnętrzny w stosunku do przeżycia i nie wnosi doń nic zasadniczo nowego: przejrzysta szybka, dająca widok na rozpostarty poza nią krajobraz duchowy. Treść wiersza zdaje się istnieć niezależnie od jej poetyckiego sformułowania, podobnie jak na obrazach przedimpresjonistycznych przedmioty, obdarzone stałym i niezależnym od naszego widzenia kolorem lokalnym, stwierdzają w ten sposób swe obiektywne, pozamalarskie bytowanie.

I podobnie jak impresjoniści pierwsi poczęli oddawać nie tyle przedmioty, ile konstrukcję własnego widzenia, tak symboliści dopiero uwewnętrznili ostatecznie opis życia wewnętrznego, odejmując mu dotychczasową przedmiotowość i stałość. Wyłącznie dawniej temat i regulator wiersza, przeżycie, redukuje się do roli początkowego jedynie pchnięcia, załadka; utwór odzwierciedlać będzie, zamiast przebiegu doznań, wewnętrzną perypetię swej własnej genezy. Zamiast wstydliwie ukrywać ślady własnego powstania i doszlifowywać formę do owej — dawniej wymaganej — przejrzystości, obaża on swe kolejne warstwy, nie jest właściwie niczym innym, jak ich coraz bardziej oddalającym się od podstaw spleźnieniem. Stąd — zamiast dotychczasowej techniki tematycznej — asociatywna. Podobnie — od czasów Impresjonizmu — malarz, zamiast doprowadzać powierzchnie obrazu do głębi, pozostawił w śladach pedzla, w szorstkości farb nałożonych i przeświecających, w fakturze — historię procesu widzenia.

Te wstępne uwagi dowodzą dostatecznie, iż to, co zwykliśmy uważać za nasz odpowiednik zachodnio-europejskiego symbolizmu, Młoda Polska, jest mu technicznie najzupełniej obce i w stosunku doń spóźnione i że — jak w Rosji nie Blok, lecz Pasternak — tak u nas nie Tetmajer czy Kasprowicz, lecz pewne dokonania dwudziestolecia, w pierwszym rzędzie poezja Mięczyława Jastruna, mogą stanowić równoważnik poezji Mallarmégo, Valéry'ego, Rilkego.

Tak np. w utworze bez tytułu, zacytowanym się od słów:

Jakże mógłbym zapomnieć o tem? Byłaś dzieckiem na wiosny połowie Byłaś tyle, co wałki przelotem. Nie odjęta pajęczej osnowie. Jasna, zielonoskrzydła Elektro, Zabójczyni snu w pogodę noce... etc.

epitet „zielonoskrzydłej“ wynika nie z właściwości opisywanej osoby, lecz z samej faktury wiersza: porównanie zmarłej do nitki pajęczej, oderwanej przez zielonoskrzydłą ważkę, wywołuje z kolei przeniesienie tego określenia na nią samą. Zamiast właściwej utworom „przedsymbolistycznym“ kompozycji wynikowej, w której najdalsze nawet obrazy nawiązują bezpośrednio do samego tematu, mamy tu zatem narastającą, gdzie — niby fal — w coraz szerszych kręgach odchylającą od kamienia — dawne skojarzenia stwarzającą odskocznicę dla nowych.

Bywa jednak, iż dzieje się odwrotnie i że obrazy wcześniejsze wynikają z późniejszych: zamiast asocjacji postępowej mamy wówczas wsteczna. Tak np. w cytowanym utworze epitet „Elektry“ tłumaczy się dopiero wierszem następnym: „zabójczyni snu w pogodę noce“ (a więc) „Elektra“. Podobnie w utworze „Zachód“, w strofie

Fanfary wieku, werble cienia, Buntu klawisze Już rozsypana się w płomieniach W popiół i w ciszę Która wrażeń barwne przekłada Na dźwiękowe, owe „fanfary wie-

*) Mięczyława Jastruna. Poezji wybrane. Z portretem autora. (Krańków), „Czytelnik“, 1947, str. 237 i 2 nl. i 1 knl.

ku“ znajdują swe uzasadnienie dopiero w następujących „klawiszach buntu“. Halaśliwa muzyka kolorów kojarzy się z pochodem rewolucyjnym i — wstecznie — z historycznym przełomem.

Toteż w wierszach Jastruna struktura najwyższych piętier skojarzeniowych tłumaczy się jedynie budową sąsiednich, lecz nie samymi fundamentami: nie każdy szczegół da się tu bezpośrednio powiązać z tematem, jakkolwiek każdy się zeń w jakiś sposób wywodzi. Utwory te nigdy nie są; zawsze się stają; jak muszla, dają one za stygły przekrój własnego powstania. Oglądana przez tyle kolejnych szyb tematyka ich zyskuje — iluzoryczną, być może — wielowarstwowość, faluje w głąb pokładami znaczeń i nie poprzestaje na żadnym.

W utworze „Pogranicze“

Walil śnieg. Zapadał w zaspy las. Dopalała się żółta gromnica. Wąty płomień chwał się jak ślaz W niedomkniętych zmierniczu okiennicach.

Był zagajnik. Zwił się biały puch. Ciemny wicher tari plecy o ścianie. Nawoływał bawoły róg Szare sosny w polu rozbiegane

Przemytlicy lazurów przez noc Biegl, szepem rozdzierałi cienie, Każdym krokiem wyzywając los, Dynamitem płońeli, marzeniem... itd.

wizja przemytu w kresowym borce urasta — w miarę poetyckiego wyrażania — do symbolu nieegalnie kolportowanych idei, lecz, nie przerodziwszy się weń ostatecznie, pozostaje na drażniącym pograniczu dosłowności i przenośni. Przeważają kilka równorzędnych ciągłów znaczeniowych i pozwalają im na przemian wyłaniać się na powierzchnię, wiersze Jastruna stwarzają w ten sposób iluzję psychicznej wielowarstwowości. Ich celem nie jest — odzwierciedlić świat zmysłowy lub wyrazić refleksję lub wrzescie stworzyć obiekt estetyczny, lecz jedynie — dać wrażenie niezgłębionego i — w miarę sondowania — mnożące swe głębie przeżycia. Toteż zdarzają się w tych utworach nagłe zmiany punktu widzenia, przesunięcia składowi zdaniowej, tonu, nawet osoby, jak gdyby — przedstawiając wewnętrzny obiekt — poeta dołączał do nowych, jeszcze nieznanych, warstw psychicznych, podpartrywał je od innej, niedojrzałej jeszcze, strony. Okresy tak luźnie zbudowane, jak

Od magistratów, kramarzy, syndyków Od gild suchennych, od troski zegarów, Jak pchnięcie dzidą w mroku świećka dziko Oczy, bliźnięta nietutejszych czarów (Straż nocna) lub W półkolu złotych stoneczników, Na alkoholach lata, Nabijasz mnie na różę dziką, Na palach i na kwiatach (Czerwiec)

sprawiają wrażenie pewnej technicznej nieściśłości, operującej raczej impresjonistycznymi płamami, niż niezawodnym stychem, sugestią catości raczej, niż obróbką części. Dla Jastruna bowiem przeżycie w swej najgłębszej istocie jest niewyraźne: próżno by usiłować nazwać je po imieniu, nabić na szpilekę definicji; co najwyżej może opisać je od zewnątrz, określić opływowymi i omylnymi gestami, omówić dośkołną peryfrazą i... — mł. czeniem. Podczas gdy Młoda Polska, przejawy od symbolizmu zachodnioeuropejskiego tylko jego ideologie, nie zaś techniki, operowała tzw. absolutem jako pozytywnym czynnikiem artystycznym,

wskazując na pełną dłoń (dziwny, tajemniczy itp.), to neo-symbolista Jastrun czynił to pośrednio i niejako negatywnie, pozwalając mu przeświecać przez szpary swej rzeczywistości. Metafizyka, z lekka rozpylona w atmosferze poetyckiej ostatnich lat międzywojennych, kiedy tworzył pierwsze swe zbiory Jastrun, niosła w sobie przymus omowności, niemożność konkretności. Uświadomił to sobie sam poeta, gdy we „Wstępie“ do przedmowej dla jego twórczości i po-

przedmiotów zależy od wiedzy o nich poety. Wszelkie zmiany, spowodowane przez czas, są złudne: „Nic się nie dzieje. Wszystko, co będzie, jest już poza nami.“ Historia jest kołem, ustawicznym powrotem tożsamości i ponad jej pochodem trwają, niby znaki zodiaku, mity, odwieczne wzorce powtarzalności:

Zapewne nic się ni: stawi i czas ten sam pod powierzchnią I my tezesuse ci sami: Dzieci, porwane na niebo, w letnim unoszą się zmierniczu, Zderzając się z tęczą kotami. (Mitologia)

Od młodzieńczego „Spotkania w czasie“ (1929) po przedwojenny szczyt Jastruna „Strumień i mil-



Mięczyława Jastruna

rys. Jerzy Zaruba

wstał pod okupacją „Godziny strzeżonej“ pisał:

Nie bój się! Nazwij rzeczy po imieniu, ty, co Łekasz się, że nazwane — oddychać przestaną.

Tę samą niemożność wydobywania się z pęty stylu metafizyczno-omownego stwierdza w piśmie również za okupacją wierszu niesłusznie dziś zapomniany poeta Jerzy Kamil Weintraub. Za każdą techniką poetycką kryje się pewien światopogląd i pewna rzeczywistość społeczna; lecz bywa, że te ostatnie już odpadną, a forma trwa jeszcze, maska przyrosła do twarzy. Tak siedząc w więzieniu Konwentu i czekając ściecia najznakomitszy poeta francuski XVIII-go wieku, André Chénier, wiersz o bliskim zgonie rozpoczynał kunsztowną — cytuję z pamięci — peryfrazą: „Zanim ów goniec śmierci, obiegłszy dookoła tarcz krysztalową, postawi na tym samym miejscu swą stopę dźwięczną i czujną, sen grobowy — być może — przymknie mi powieki.“ Oto autonomia środków literackich!

Rzeczywistość Jastruna — jak technika jego utworów — jest chybota i nieszczelna, widziana w mrugającym blasku świecy, zamieszkała przez rembrandtowskie światłocienie, pełna przemilczeń i niewymienionej tajemnicy. Obrazy jej, rozbieżne i wichrowate, zdają się wyrastać z pozaobrazowej głębi. W tym zatopionym, prawie sopsystycznym świecie zapomnienie równa się unicestwieniu:

Uciekasz. Z twarzą twojej rysy Starło powietrze. W wodę zanurzasz się irysem, Wiedniesz na wietrze. (Zapomniana)

Wspomnienie kontaktuje odległe zjawiska („Dwa deszcze“); i był

STEFAN OTWINOWSKI

Humor filozoficzny

„Dużo się gromów rzuca na tak zwany kawiarniany styl życia artystów. Gdyby choć połowa tych gromów wybuchła, straciłby prawo do pamięci niejeden z moich przyjaciół, z życia zaś specjalnie mego nie zostałoby nawet wspomnień. Od dwudziestu lat „kawiarnia domem była mi“ — przede wszystkim dlatego, żeby w wolnych od pracy godzinach nie oddawać się nałogom „knapowania“. Jest bowiem wielką prawdą historyczno-obyczajową — o czym powinni wiedzieć i Swirszczyńska i Natanson — że szanujący się bywaliec kawiarniany nie lubi restauracji i przystanek rozmawia przy kawie lub herbatce chroni się niejako przed okazją innego picia i belkotu nieprzytomnego.

Trzeba powiedzieć, że wszyscy ci, którzy dla pijackich okazji zdradzili stolik kawiarni — stracił na ogół swój i swego kręgu styl konwersacji i dowcipu. Czarna kawa ma przedziwne właściwości podniecające wyobraźnię — alkohol przedaj czy później gasi inteligencję. Zupełna samotność nie sprzyja dowcipowi. Humor jest sprawą towarzyską. Instykt ciągnął mnie zawsze do ludzi — to że ludzie ci mieli zwyczaj siadywania w kawiarni — nie przeszkadzało mi w sprawie zbliżania się do ich najbardziej ludzkich treści.

Pierwszą stacją na drodze mego żywota towarzysko-literackiego była sławna Ziemiańska przy ulicy Mazowieckiej w Warszawie. Stoliki było tutaj bardzo dużo. Każdy miał określony charakter. Każdy był małą epoką stylu i dowcipu. A przy niejedyńdym robiło się nawet wielką politykę i podniecało się myśl w kierunku ważnych przemian. Tutaj spotkałem się po raz pierwszy z nową teorią krytyki Stawara. Tutaj Wat referował mi błędy mojej pierwszej książki. Tutaj Ważyk uczył mnie cenić zalety instyktu społecznego oraz buntował przeciw Gombrowiczowi, który wyznawał, że poza instynktem „towarzyskim“ nie ma instyktu społecznego.

Przysłałem na dłuższą stolicę Gombrowicza. Także trochę przez litost. Samotność była dla niego wyrokiem — nieudolność w werbowaniu sobie partnerów uważał za przegraną, początek ostracyzmu, klęskę.

„Po pewnym czasie stolik nasz zyskał sobie specjalne wzięcie. Gombrowicz rozszerzył swoją teorię. Filozofia było nowa, twórcza, chociaż szokująca. Nasze praktyki psychologiczne były całkowicie własne. Gdy zbliżył się do nas ktoś nowy, wciągaliśmy go od razu w tok trudnych doświadczeń. Nowy poddawany był pytaniem w rodzaju: „Co pan sądzi o naszym przyjacielu, poecie Swiatopółku Karpińskim?“ Nowoprzybyły patrzył nie bez przerażenia na poetę Karpińskiego i najczęściej wyznawał, że w ogóle nic o Karpińskim nie sądzi. Gombrowicz wybuchł śmiechem unieściewiającym. „Jakto nie pan o poecie Karpińskim nie sądzi? A poeta Karpiński sądził, że pan o nim sądził. Czy pan sobie zdaje z tego sprawy, że oto zachwał pan nie tylko sądem poety, ale i jego egzystencją... Swiatek, jak się czujesz od chwili, kiedy otrzymałeś sąd — nie lic o sobie ludzie nie sądzają?... Jesteś jeszcze, czy już w ogóle nie egzystujesz?“

Karpiński był odporny, wytrzymał sądy antyegzystencjalne. Nowoprzybyły próbował czasem ratować samego nieczekiwany i dla niego samego nieuczucie. Sposzyni dziwnym stylem towarzyskim brnął coraz bardziej w sądach niezręcznych, nieautentycznych — służył teorii „pierwszego złego stąpnięcia“. Gombrowicz cieszył się każdą dekompozycją. Okrucieństwo towarzyskie mnożyło jego pewność siebie. W tym był bardzo młodopolski — ten sukcesor satysfakcji Przybyzszewskiego.

Wszyscy, którzy wytrzymali próbę pierwszych spleć towarzyskich, zostawali przy stoliku na dłużej. Byłi naprawdę atrakcyjni. Stałymi naszymi partnerami byli: Zużanna Gincanka, Andrzej Nowicki, Hanka Lipińska (Ha-ga), Tonio Uniechowski, Eryk Lipiński, częstymi Swiatopółka Karpiński, Janusz Minkiewicz, Zbyszek Uniłowski, Staś Dygat.

Andrzej Nowicki lubował się w dowcipach makabrycznych. Któręgod dnia urządził przy stoliku konkurs na slogan propagujący warszawskie zakłady pogrzebowe. Były trzy najpopularniejsze firmy: Łopacki, Sawnor i Adamski. Slogan Andrzeja podobał się najbardziej, chwalił firmę Łopackiego:

„Każdy trupek świeży, chwacki — tylko z firmy W. Łopacki.“

Była wtedy modna reklama przroku do prania: „Radion sam pierle! Zauważyłem, że będzie można gotować właściciela zakładu Sawnora porównać do zdolności popularnego mydlika:

„Sawnor sam grzebie!“

brzmiał mój slogan.

„Na początku był Adam — na końcu będzie Adamski.“ Ostateczne sądy o człowieku powstają przecież na jego pogrzebie — należy dbać o swój dobry pogrzeb. „Sąd ostateczny“ zaczyna się od pogrzebu!

Któręgod dnia przy stoliku już w „Zodiaku“ mówiliśmy o egzystencjach wspaniałych i skromnych. Swiatopółka Karpiński powiedział wówczas: „Moja rybka w akwarium prowadzi żywot najbardziej powściągliwy. Pożywienie kupuję jej raz na pół roku, kosztuje 6 gr. — policzcie, ile kosztuje codzienne utrzymanie rybki!“ Tak — przyznali wszyscy — Twoja rybka nie wymaga wiele od życia.

Gombrowicz lubił egzaminować „przyjaciół“ w erudycji literackiej i muzycznej... Wyglądał cytat — po czym szybko pytał: „Z czego to jest, panie Stefanie?“. Specjalizował się w cytatach wyjątkowo krótkich. Na przykład skąd pochodzi zdanie „Która godzina?“ Cytat pochodził z Szeńskiego. „Która godzina?“ — „Wybiła dziesiąta!“ brzmiały pełny tekst i tak bardzo krótki. „Czego chcesz od nas panie?“ — to znowu z Kochanowskiego. „Przebóg!“ — to z Mickiewicza.

Witka Małcużyńskiego męczył zdaniem z symfonii. Pianista, jeśli był w dobrym humorze, dorabiał do krótkiego zdania rozwinięty motyw. Jeśli się jednak pomylim, Gombrowicz najpierw śmiał się zryderce, potem poprawiał frazę. Niekiedy egzaminowany nie chciał ustąpić, uznając swoje wykonanie za słuszne — buczeli wtedy głośno, kłócać się tonami, imitującymi wszystkie instrumenty.

W roku 1937 spadła na Warszawę epidemia grypy. Choroba przerzedziła frekwencję kawiarnianą. Najdłuższą bronieł się Gombrowicz. W obronie pomagała mu filozofia. Nie wolno dobrowolnie oddawać wypracowanego kręgu egzystencji. „Niech się pan nie kładzie do łóżka. Tu już kimś pan jest. Kim pan będzie w łóżku? Łóżko pana zdevaluowało“. Istotnie: łóżko mnie zdevaluowało. Przechodziłem tak ciężką grypę, że chwilami naprawdę zapomniałem, kim jestem. Gombrowicz przyjmował przez telefon wiadomości o mojej chorobie. Gdy mu żona moja mówiła, że w gorączce tracę przytomność, rzycał ze śmiechu:

„Choroba rozkłada spójnię egzystencjalną. Nie można się dać chorobie“. Ale i jego wzięła wrzescie grypa. Chorował w samotności, nikt nie mógł być świadkiem upadku. Gdy wrócił do kawiarni, tylko mnie przyznał się do klęski — wszystkim innym mówił, że wraca oto z polowań, które upewniły go w dobrym i składnym samopoczuciu.

Nie istnieje właściwie przegrana w samotności. Dopiero klęska, sprawdzona oczyma ludzi, rozkłada naszą osobowość.

Ale nie ludyśmy się. Samotność jest już potencjalnym unicestwieniem. Trzeba się bać samotności. Trzeba się bać niemożności działania i oddziaływania. Tracąc ludzi zyskujemy lek, zajrzenie. Gombrowicz nie lubił nawet pustych miejsc. Odcinków drogi do domu, w których mógł się spodziewać niespodzianki. Jego wyobraźnia — najwyższa: była wyobraźnią tragiczną. Bał się sam wracać do domu. Odprowadzałem go niemal co noc aż do progu kamienicy na Chocimskiej. Byłem z nim w spójni dziwniejszej, aniżeli z kimkolwiek na świecie. Buntowali mnie przeciwko dziwakowi. Obiecywał mi atrakcję po drodze. Lubilem tańczyć. Już na Mazowieckiej miałem obrazem nowego wspaniałego dancingu, który stworzyli wczoraj na Placu Unii. „Potanczmy sobie“ — mówił, tylko po to, żeby mnie wciągnąć w drogę dla odprowadzenia. Nie tańczył i nowego dancingu na Placu Unii nie było. Kiedyś, gdy stanowczo sprzeciwiałem się systemowi podstepu, ściągnął mi kapelus z głowy, schował głęboko. Oddał dopiero na Chocimskiej na progu domu. Powoli urzekała mnie sugestia smutnej filozofii. Jej humorystyczne konsekwencje: komiczne i tragiczne — odczuwam do dnia dzisiejszego.

Nie o wszystkich mogę pisać. Tak. Jeszcze nie o wszystkich mogę pisać.

Stefan Otwinowski

Fraszki

STANISŁAW JERZY LEC

O pewnych tendencjach

Znów słyszę znany od młodu Śpiew faszystów ponury: „Czemcy kultury Zachodu!“ A chcą zachodu kultury.

Na wernisażu

Pan był na wernisażu, pański pogąd jaki? Dorównujemy Francji, widzę same Braque'ę.

Ludzie Odrodzenia

Wymieńcie mi Wielkich Ludzi Odrodzenia! Ktoś jednym tchem: Da Vinci, Bramante, Angelo! wymienia. A ja oburzony zakrzyknę: Herezja! Bo czekałem imion Przybosiów, Gilów, Wyk i Brez, ja.

Nieporozumienie

Widzę w tym wierszu genialności przejaw! Kto autorem? Goethe. G. T.? To ja. Grzegorz Timofiejew.

O pewnych krytykach

Ach znów krytyk-biedaczyna utonął wśród sztuki ogromu! Niepomny, że tam się zaczyna głębia powyżej poziomu.

JULIAN PRZYBOS

Koncert

Trzepotu tych nut o pręty poręczy, o kraty nie strąci trzepakczek trzepot.

Dwaj: podżegany swą fają, poganiany swym kosturem stary graj z harmoniją, młody pętał z głosem przez nos zadartym. Betonową klatę od poręczy do poręczy przelatują w piętach.

Stary rozczłapanym buciorem odkurza takt, (co naciśnie klawisz palcem, liczy ślepo: piętał), fortissimem klucze z zamków wypłasza!

A syn wścibia w szpary falset: ujrzał... Zamykanł raz po raz w ciasny potrzask trzepakczek w kioskach domu z głodu grają marsza.

Ujrzał: Z piskiem, naddzierając ściany skórę, otwarło się, zionąc spalenizną... „Jakaś Gruba poza prąd z szurgotem na m'oiel! Już, mięściście zaskwierczawszy w misie, na obtokach pary — kotlet. i ze stódkim świergotem podfrunęty ptysie... A dźwięk-nóż (a widelec) uderzył!... cichaczem. (Tylko guzik elektryczny? klawisz? pisał).

O CHOPINIANACH ODNALEZIONYCH WE WROCŁAWIU

Jesienią 1945 r. pracownicy Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, pod kierownictwem dyrektora Antenego Knota, odnaleźli w zamku Waldstein, na pograniczu polsko-czeskim, w pow. kłodzkiem, kilkadziesiąt skrzyń ze starodrukami i rękopisami, pochodzącymi z dawnej niemieckiej biblioteki uniwersyteckiej w Krakowie, ukrytych tam w r. 1944 przez Niemców.

Niedawno dopiero można było przystąpić do otwierania tych skrzyń, zawierających wiele cennych materiałów.

Między starodrukami biblioteki znalazł się pakiet z napisem „Chopin — Austellung”. Zawartość tej paczki była niezwykła. Składała się ona z kilkunastu bardzo cennych obiektów, wystawionych jesienią 1943 r. z inicjatywy „gubernatora” Franka w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Ogólnie uważano je za stracone.

Paczka zawierała m. i. duży skórzany futerał z portretem olówkowym Chopina, wykonany w Paryżu w 1847 przez Franza Xavera Winterhaltera (1806—1873). Jest to najlepszy z czterech istniejących jego portretów Chopina i znajdował się za życia kompozytora w posiadaniu jego uczennicy i dożgonnej przyjaciółki, Jane Wilhelminy Stirling. Jakkolwiek rysy Chopina, ujęte na tym wizerunku z prawego profilu, noszą wyraźne cechy trwającej go choroby, uważano on portrety Winterhaltera za udaje, czemu dał wyraz w jednym ze swych listów.

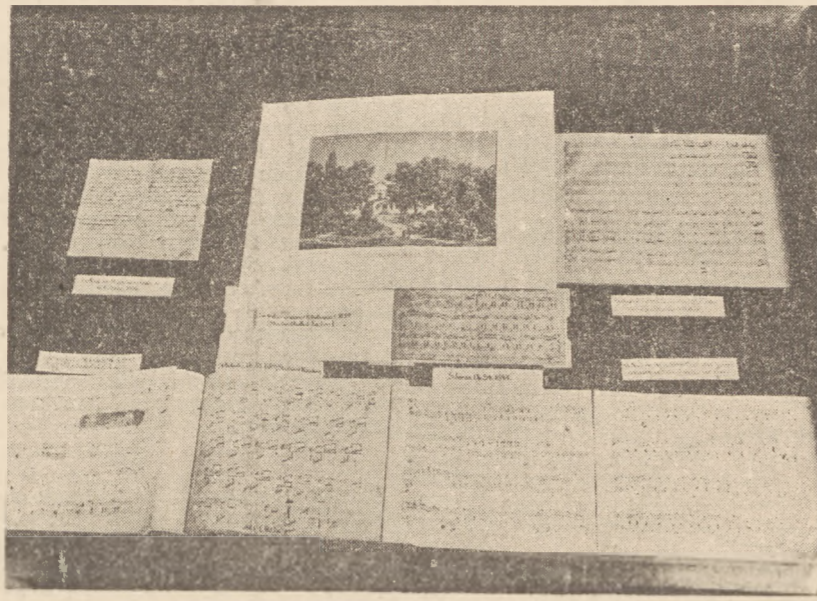
Drugi, niezwykle cenny z odnalezionych we Wrocławiu obiektów, to rękopis Chopina 24 preludów, op. 28. Rękopis ten, składający się z 40 stron normalnego podługowego formatu, pokrytych drobnymi nutami-muchami, jak zwykły zwąc je Chopin, jest dla nas szczególnie cenny. Należy do zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie, gdzie się znajdował do września 1943 r., po czym został wysłany na wystawę Chopinowską do Krakowa. Stąd zabrano go już w lutym 1944 r. W Bibliotece Jagiellońskiej pozostał jedynie pusty futerał. To arcydzieło Chopina, nie będąc zapewne ostatecznym czystopisem, gdyż zawiera dużo skreśleń i poprawek, nosi na pierwszej stronie dedykację, pisaną ręką Chopina: „24 Préludes pour le pianoforte dédiés à son ami J. K. Kessler par F. Chopin”. Posiada oprawę skórzaną wysokiej wartości artystycznej, wykonaną przez B. Lenarta.

Barkarola op. 60 z r. 1846, której rękopis znajduje się również wśród odzyskanych skarbów, składa się z 8 zapisanych stron. Jest to egzemplarz, napisany zapewne przez Chopina dla paryskich wydawców Brandusa i Cie i im doręczony. Słowa „pour le piano dédié à Madame la Baronne de Stockhausen par F. Chopin Paris Brandus Leipsic Haertel Londres Wessel”, pisane ręką Chopina, są skreślone. Zamiast tego pozostało: „Barcarolle op. 60 de F. Chopin”. U dołu inicjały i numer wydawców: „B et Cie 4609”, pisane ręką obcą, widocznie samych wydawców.

Jest poza tym rękopis Scherza E-dur op. 54 z r. 1843, składający się z 8 stron formatu podługowego, z dedykacją: „dédié à Mlle Jeanne de Caraman par F. Chopin”.

W ładną oprawę, utrzymaną w guście epoki Chopina, ujęto facsimila następujących utworów Chopina, których oryginały należą do archiwum Konserwatorium Muzycznego w Paryżu: Druga Ballada op. 38 E-dur, 9 Walc As-dur nr 1 z op. 69, wydany po śmierci Chopina przez Fontane, z dedykacją: „à Mademoiselle Charlotte de Rothschild hommage F. Chopin Paris 1842” i drobne szkice kompozycyjne numerowane 1 do 14 z napisem z nowych

W poprzednim 26 (135) numerze „Odrodzenia” z dnia 29 czerwca 1947 r.: Stanisław Stempowski: Przedmowa do „Wspomnień” L. Krzywickiego. — Leopold Staff: Nowe wiersze. — Antoni Ślonimski: Fraszki. — Hanna Morkowicz-Oldakowa: Smutek świętostwa. — Włocławek Szewczyk: Sędziowie. — Mar' Jarochońska: Polska na ziemi francuskiej. — Stanisław Wygodzki: Jeden wieczór. — Ksawery Pruszyński: Jan Dobraczyński czyli trudności katolickiego pisarza. — Paweł Hertz: Mała oda. — Helena Blumówna: Andrzej Pronaszko w teatrze katowickim. — Ludwik Puget: Fraszki. — Tadeusz Peiper: Pasażer bez bagażu. (W związku z reakcją J. Warneckiego). — Krystyna Kuliczowska: Lszy ogólnopolski zjazd poświęcony literaturze dziecięcej. — Artur Sandauer: W obronie krytyki. — Stefan Pa-
pée: Wśród wydawnictw. — Tydzień bibliograficzny. — Włocławek Kubacki: Zamyślenie mistyczne. — Nemo: Płotki, plotki... — Kronika teatralna. — Nowy zeszyt „Twórczości”. — Camera obscura. — Rubryka nr 47. — 15 ilustracji. — 8 stron.



Odnalezione Chopiniana

czasów: „Donné à Monsieur Cortot ce manuscrit ayant appartenu à Madame Pauline Viardot — M. Maupol”.

Dalej: na 8 luźnych stronicach formatu podługowego mamy rękopis Chopina Scherza op. 56 E-dur z dedykacją: „à Mlle Jeanne de Caraman par F. Chopin”.

Nokturn op. 55 nr 1, kopiowany

obcą ręką, lecz z poprawkami i różnymi napisami ręką Chopina. Wskazuje zresztą na to notatka u dołu manuskryptu brzmiąca: „cela n'est de mon écriture excepté les pedales et les petites notes — Ch.” — („to nie jest moje pismo, z wyjątkiem pedałów i małych notatek”).

Ręką przyjaciela Chopina, wo-

loncelisty Augusta Franchemme'a, skopiony jest Walc pośmiertny np. 69 nr 1, As-dur, z dedykacją Franchemme'a dla panny Stirling, z 22 maja 1850.

Poza tym zbiór zawiera, oprawny w złoty monogramem JWS, pierwodruk dwóch Nokturnów op. 55, poświęconych p. Stirling, z dodatkową własnoręczną dedykacją Chopina: „à Mlle J. W. Stirling Paris 1845 F. Chopin”.

Serie Chopinianów kończy autograf listu 14-letniego Fryderyka, pisanego z Szafarni 19 sierpnia 1824 r. do przyjaciela i kolegi szkolnego Wilhelma Kolberga. List ten, pełen humoru i nie bez błędów ortograficznych, które zdarzały się czasem też dorosłemu kompozytorowi, jest znany ze zbioru H. Opieńskiego (Warszawa, 1937).

Bardzo cenny obiekt stanowi wreszcie własnoręczny manuskrypt kompozycji Juliana Fontany, napisanej w Hamburgu 26 września 1833 r. pt. „A la Mazurka”. Ta kompozycja, o niewielkiej co prawda wartości muzycznej, jest jednakże niezwykle ważna jako jedyna, o ile nam wiadomo, wzór pisma nut Fontany. Ponieważ Fontana, przyjaciel i w pewnym okresie zastępca sekretarza Chopina, kopiował na jego zlecenie liczne utwory dla wydawców (Chopin zwykł był pisać jedynie oryginał), bardzo ważne jest dla badań manuskrypcyjnych kopii dzieł chopinowskich, posiadanie niezliczonej liczby wzorów pisanym ręką Fontany.

Ze zbiorów Ed. Gonche'a brak jeszcze wielu obiektów. Ponieważ we Wrocławiu dopiero rozpoczęto inwentaryzację znalezionych w Waldsteinie skrzyń, możliwe jest, iż jeszcze odnajdą się dalsze bezcenne skarby puszczony po Chopinie.

B. E. Sydów

List z Wybrzeża

Gdańska Wojewódzka Rada Sztuki i Kultury Artystycznej zapoczątkowała wznowioną po dwumiesięcznej przerwie działalność ogłoszeniem konkursu literackiego o nowelę lub opowiadanie o tematyce morskiej albo związanej z problemami życia na Wybrzeżu. Swego rodzaju prowokacją do ogłoszenia tego konkursu było niepokojące milczenie nadmorskiego świata literackiego, który mając w swym gronie ponad 30 zawodowych literatów, nie wykazał się dotąd żadną godną uwagi pozycją marynistyczną. Organizatorzy imprezy mają nadzieję, że konkurs wpłynie na ożywienie życia literackiego i umożliwi wyłowienie nowych talentów marynistycznych.

×

W kołach teatralnych Wybrzeża duże wrażenie wywołała pewna dość niesmaczna awanturka, jak gdyby żywcem wyjęta z amerykańskiego scenariusza filmowego. W rzeczywistości scenariusz zdarzenia był naprawdę filmowy, ale... nie amerykański. Przed kilku dniami siedemnastoletnią Zosię Perczyńską, obiecującą gwiazdę zespołu Galla „Porwał”... Film Polski. Jak twierdzą wtajemniczeni, młodociana odtwórczyni „Orchidei” podkupiono gażą dzienną... 8000 zł, przy czym umowa wstępna została ponownie zawarta w taksówce na ulicy Przewiny jestem jakimkolwiek krepuwaniu naturalnej predyspozycji artystów, chociażby nawet siedemnastoletnich. Chcę wierzyć, że

mała Perczyńska właśnie w filmie znajdzie swe właściwe przeznaczenie artystyczne i z czasem sławą dorówna Poli Negri. Przeciwny jestem także jakimkolwiek ograniczeniu szlachetnej rywalizacji między poszczególnymi przedsiębiorstwami przemysłu artystycznego. Ale sposób zaangażowania młodocianej artystki przez Film Polski tak żywo traci realność i siłę, że chyba nie należy sobie życzyć, aby podobne obyczaje zyskały prawo obywatelstwa w naszym życiu kulturalnym.

×

Sprawa „porwania” Perczyńskiej wiąże się ściśle z nader ciężką sytuacją finansową, w jakiej znajduje się obecnie gdański teatr „Wybrzeże”. Już bez mała od roku teatr ten toczy ciężką i upartą walkę z obojętnością gdańskiej publiczności. Mimo że walka ta doprowadziła już do sukcesów artystycznych — ogólnym jej rezultatem jest jeszcze ciągle poważny deficyt. W deficycie tym należy szukać przyczyn, dlaczego członkowie młodego lecz obiecującego zespołu Galla są w tej chwili najgorzej sytuowanymi aktorami w Polsce. Po wystawieniu z wielkim nakładem kosztów komedii szekspirowskiej „Jak wam się podoba” — sytuacja materialna teatru jeszcze się znacznie pogorszyła, gdyż to naprawdę piękne przedstawienie nie przyniosło spodziewanego dochodu. Wojewódzka Rada Sztuki i Kultury Artystycznej, pragnąc pomóc Gallowi w jego trudnej sytuacji, zakupiła kilka przedstawień teatralnych dla pracowników Międzykomunalnych Zakładów Komunikacyjnych, którzy przekroczyli ostatnio wyznaczony plan produkcji. Jednakże ta skromna pomoc z ograniczonych funduszy Rady może być traktowana tylko jako doradczy zastrzyk wzmacniający i zasadniczej sytuacji teatru zmienić nie jest w stanie.

Zasadniczą zmianę może spowodować jedynie wydatne zwiększenie subwencji państwowej, która w obecnej wysokości 250.000 zł miesięcznie — jest przynajmniej trzykrotnie za niska.

W każdym razie nie poprawia sytuacji teatru próby podkupywania jego młodocianych aktorów przez agentów „Filmu Polskiego” i dyrektorów wyżej subwencjonowanych teatrów państwowych. Takie próby, które niestety ostatno zdarzają się coraz częściej, mogą jedynie doprowadzić w krótkim czasie do rozbitcia i zniszczenia tej cennej placówki kulturalnej.

Marian Brandys

Osobę, która w ciągu ubiegłych paru tygodni dwukrotnie przysłała mi anonimowo cenne książki (m. i. „Opis miasta Łodzi” Oskara Flałta, „Kirgiza” Zielińskiego, Lipsk 1847, oraz druki wydane przez Towarzystwo Bibliofilów) uprzejmie proszę o podanie nazwiska i adresu.

Julian Tuwim

Warszawa, Daszyńskiego 11

Festiwal muzyczny w Pradze

Festiwal praski miał na celu pokazanie całej współczesnej muzyki twórczości europejskiej, a nawet i pozaeuropejskiej. Trwał trzy tygodnie i objął wykonanie kilkudziesięciu koncertów symfonicznych, kameralnych i solowych. Program odbył się w sposób, który jest nie tylko programem, lecz i wyjątkiem. Wykonawcy dobrani spośród najlepszych specjalistów. Muzyce czeskiej wyznaczono w tym turnieju międzynarodowym poczesne miejsce. Poza symfonią Bogusława Martinu, powszechnie uważanego dziś za jednego z czołowych przedstawicieli muzyki europejskiej, poza awangardzistami okresu międzywojennego, jak Janacek, którego operę „Katia Kabanowa” do tekstu „Burzy” Ostrowskiego słyszeliśmy w „Narodnym Divadle” w świetnej interpretacji muzycznej i aktorskiej, poza klasycznymi utworami Smetany i Dworka i ich następców, poznaliśmy czeskie kompozytorów młodszej i najmłodszej generacji, którzy godzą współczesny stosunek do formy muzycznej z tradycjami klasycznej muzyki czeskiej. Co więcej, pokazali Czesi same korzenie tych tradycji w kilku koncertach historycznych, które obrazowały udział ich w europejskiej twórczości instrumentalnej XVIII wieku i w muzyce religijnej dawniejszych okresów. Nie podając na tym miejscu ocenie typu tej muzyki i jej miary twórczej, trzeba jej przyznać zawsze wysoki poziom techniczny. Vítěslav Novák, spior nowoczesnej muzyki czeskiej, który pracuje od r. 1919 nieprzerwanie jako profesor kompozycji muzycznej w Akademii praskiej, zdołał przez ten okres wykształcić już dwa pokolenia kompozytorów, i słusnie uchodzi w czeskim świecie muzycznym za najwyższy autorytet. Do niego nawą-
ażuje nawet twórca tak awangardowo, jak Alojza Haba, jeden z najmłodszych eksperymentatorów XX wieku, twórca nowoczesnego systemu ćwiercotonowego.

Poza tym program festiwalu obejmował najcenniejsze kompozycje XX wieku: Debussy'ego, Ravela, Roussela, Poulenc'a, Bartoka, Strawińskiego, Honeggera, Szostakowicza. Odkryć festiwal nie przyniósł, jedyną pozycją nową, która zasługuje na uwagę, był szwajcarski kompozytor Frank Martin (ur. w Genewie w r. 1890), który nie zdobył sobie dotąd na arenie międzynarodowej tego miejsca, jakie mu się słusnie należy. Jego „Symphonie Concertante” na harfe, cembalo, fortepian i dwie orkiestry smytkowe, wykonana pod batutą słynnego kapelmistrza szwajcarskiego Ansermeta, zdobyła sobie od razu całe audytorium. Swoisty świat „dźwiękowy, równie daleki od tradycyjnej harmoniki XIX wieku, jak i od radykalnych eksperymentów atonalistów, wewnętrzną konieczność twórczą, oryginalne traktowanie instrumentów — to pierwszorządne zalety tego utworu. Poza Martinem nie pojawił się żaden inny, dotychczas nieznan talent. Roussel zaimponował raz jeszcze mistrzostwem w zakresie realizacji pomysłów twórczych, Szostakowicz zadziwił głębią przeżyć, Honegger wstrząsnął koncepcją swej Symfonii Liturgicznej, napisanej tuż po wojnie, związanej emocjonalnie i nawet programowo z okresem okupacji. Wśród dyrygentów pierwsze miejsce zajął Karol Munch (kapelmistrz słynnej „Société des Concerts du Conservatoire” w Paryżu), który dał niezapomniane wykonanie „Iberii” De-

bussy'ego i III Symfonii Roussela. Interesujący z punktu widzenia kultur muzycznych Blźszego Wschodu, które do tej pory nie wniosły bardziej istotnego wkładu do muzyki nowoczesnej, był wieczór poświęcony muzyce bułgarskiej, palestyńskiej i tureckiej. Pokazał on, że kompozytorzy tamtejsi (zwłaszcza kompozytorzy palestyńscy) czerpią pełną dłoń z rodzimego folkloru. Z tym wiąże się zle-

i dobre strony tej twórczości: szczery, głęboki liryzm, bogactwo kolorystyki, egzotycki charakter motywów w melodii i harmonii — a z drugiej strony bezkrytyczny stosunek do materiału, brak jasnej konstrukcji i typowe dla muzyki Wschodu nieustanne maksymalne natężenie dynamiki uczuciowej, co często nuży współczesnego słuchacza, zwłaszcza przy większej ilości utworów tego rodzaju. Uniknął

tych słabości w pewnej mierze P. Ben Haim (Tel Aviv), a jeszcze bardziej kompozytor turecki Ulvi Cemal Erkin, którego Symfonia była stanowczo najlepszym dziełem w programie tego wieczoru. Doskonałym uzupełnieniem był odczyt Fr. Pollaka o stosunkach panujących w współczesnej muzyce palestyńskiej, w ramach odbywającego się równocześnie Zjazdu Międzynarodowego Kompozytorów i Krytyków Muzycznych. W twórczości tej łączą się wpływy europejskie, przyniesione do Palestyny przez żydowskich imigrantów z Zachodu i rodzinne wpływy muzyki chasydzkiej.

Z solistów, występujących na festiwalu praskim, jeden tylko zwrócił na siebie szczególną uwagę: młody pianista wiedeński, Fr. Gulda, zdobywca I nagrody w międzynarodowym konkursie pianistów w Genewie jesienią 1946 roku. Inni to albo nazwiska już uznane, albo też nasuwające pewne zastrzeżenia, jak paryski pianista Favier. Tym większy podziw budziły zespoły, przede wszystkim zespoły czeskie. Praga posiada w tej chwili dwa teatry operowe (oprócz „Narodnego Divadla” tzw. „Teatr 5 Maja”, gdzie odbywają się wszelkie awangardowe pokazy reżyserskie i gdzie słyszeliśmy ciekawą operę Alojzego Haby, skomponowaną w systemie muzyki ćwiercotonowej), kilka orkiestr symfonicznych (orkiestra filharmonii praskiej, której duszą jest dyrygent Rataf Kubelik, znany również w Polsce, czeska orkiestra kameralna Wacława Talicha, orkiestra Radia Praskiego i cały szereg innych), oraz rozmaite zespoły kameralne, jakimi może się poszczycić tylko niewiele miast w Europie. Wśród zespołów tych pierwsze miejsce zajmują nonet czeski, złożony z 9 świetnych solistów (na instrumentach smytkowych i dętych). Typ ten był niespotykany prawie od czasów Mozarta i Haydna — najlepszy dowód, jak dalece upadła w XIX wieku sztuka zespołowego muzykowania, ustępując miejsca wirtuozowskiemu popi-som solistów. Toteż kierownik nonetu z radością opowiadał nam, jak ożywiła się sama twórczość kameralna na większe zespoły od chwili istnienia nonetu i apelował gorąco do kompozytorów polskich, by zasilali go nowymi utworami.

Udział Polski w festiwalu praskim wyraził się przybyciem 13-osobowej delegacji oraz włączeniem dwu polskich kompozycji (Maklakiewicza i Rudzińskiego) do programu i mojego odczytu do obrad Zjazdu Międzynarodowego. Uwierłowienie Maklakiewicza, świetnie wykonaną przez Filharmonię pod batutą Kubelika na otwarcie Festiwalu, przyjęło bardzo żywcie, podobnie jak i Nonet Rudzińskiego, napisany lekko, z dużym temperamentem i bardzo dobrą znajomością współczesnej techniki.

Wprawdzie zważywszy serdeczność żywiołowości muzyków czeskich, którzy gościli polski zespół przez trzy tygodnie zjazdu i uprzedzili wprost wszelkie nasze życzenia, można by było pokazać znacznie więcej z naszego dorobku ostatnich lat. Pod tym kątem widzenia trzeba będzie organizować udział Polski w festiwalu, projektowanym w Pradze na wiosnę 1948 roku, który ma się odbyć pod hasłem muzyki słowiańskiej. Znajdzie się tam na pewno miejsce nie tylko dla większej ilości polskich kompozycji, ale i dla polskich dyrygentów i solistów.

Stefania Łobaczewska

ANTONI ŚLONIMSKI

HISTORYK*)

Gdy przedstawiono pełną listę jego win,

W której nie brakło żadnej zbrodni do kompletu —

„Bóg i historia — krzyknął — osądź mój czyn!”

Bóg? Ale który? Z Jeansa ten, czy z Nazaretu?

Historia? O tym nie pierwszy raz słysze,

Historia — raczej, zwłaszcza gdy ją spisze

Jakiś podobny jemu sukinsyn.

*) W zamieszczonej w numerze poprzednim fraszce tej zakradł się przykry błąd. Podajemy ją więc w wersji poprawnej.

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

LITERATURA.

Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr. 17. Homer. Iliada. W przekładzie Franciszka Ksawerzego Dmochowskiego. Zrewidował, wstępem i komentarzem opatrzył Tadeusz Sinko. Wydanie szóste, przejrzone. Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1947; str. CX i 2 nl. i 388 i 4 nl. — Nr. 6. Molier. Skąpiec. Komedja w pięciu aktach. Przełożył i opracował Tadeusz Żelenski (Boy). Wydanie czwarte. Tamże str. 125 i 3 nl. — Nr. 16. William Szekspir. Makbet. Tragedja w pięciu aktach. W tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Andrzej Treliak. Wydanie trzecie przejrzone. Tamże; str. XXXIII i 1 nl. i 106.

Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr. 46. Antoni Malcewski. Maria. Powieść ukraińska. Podług autografu wydał, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Józef Ujejski. Wydanie drugie, przejrzone. Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1947; str. LIII i 3 nl. i 93 i 3 nl. — 100 zł.

Władysław Kowalski. W Grzmiacej. Powieść. Wydanie drugie. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1947; str. 272 i 8 nl. i 1 knl. ilustracji.

Franciszek Lipiński. Hymny o miłości człowieka. Kraków, Klub Literatów „Start”, 1947; str. 64.

Janusz Meissner. Skrzydła nad Arktikiem. Powieść. Katowice, AWIR, 1947; str. 231 i 1 nl.

Francois Mauriac. Ciało i krew. Powieść. Katowice, AWIR, 1947; str. 135 i 1 nl.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 6. Adam Mickiewicz. Sonety krymskie. Opracował i wstępem opatrzył Stanisław Furmanik. Warszawa, „Książka”, 1947; str. 56 i 4 nl. — 50 zł.

Gustaw Moreinek. Serce za tamą. Nowele. Katowice, AWIR, 1947; str. 128 i 2 nl.

Maryta Morszyńska. Życie à la carte. Powieść z kwiatkiem. Warszawa, Galster, Lauter i Rutkowski, 1947; str. 304.

Zofia Nałkowska. Romans Teresy Hennert. Wydanie trzecie. Warszawa, „Książka”, 1947; str. XI i 1 nl. i 212 i 4 nl.

Artur Oppman. Or-Oł. Pieśń o rynku i zaulkach. Wydanie trzecie. Okładka projektu Krystyny Czeremąskiej. Zdobniki wykonała Maria Mackiewiczówna. Warszawa, E. Kuthan, 1947; str. 59 i 3 nl.

Eliza Orzeszkowa. Cham. Z wstępem prof. Juliana Krzyżanowskiego. Okładkę projektował T. Kryszak. Warszawa, „Książka”, 1947; str. 261 i 3 nl. — zł 300. str. 92 i 4 nl. — 250 zł.

Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych. 1. Mikolaj Rej. Wybór pism. Opracował Stanisław Adamczewski. Warszawa, „Książka”, 1947; str. 144 i 4 nl.

Magdalena Samozwaniec. Na utschach grzechu. Ilustracje Gwidona Miklaszewskiego. Katowice, AWIR, 1947; str. 172 i 4 nl.

Emilia Skibniewska-Polcech. Muratorowie świętego Jana. Słowo o Toruniu. Warszawa, Galster, Lauter i Rutkowski, 1947; str. 165 i 3 nl.

Anna Świrszczyńska. Orfeusz. Sztuka w trzech aktach. Przedmowa Wilama Horcyca. Opracowanie graficzne Andrzeja Stopki. Warszawa, E. Kuthan, 1947; str. XI i 5 nl. i 68 i 4 nl.

Ameryka in flagranti widziana i opisana przez Eugeniusza Zytomirskiego. Katowice, AWIR, 1947; str. 208.

Szkoła krytyków

Słuchając „Otella”

Przyszły deszcz. Poprawiają się zboża. Ale książki i zagadnienia nie rosną od samych tylko deszczów. Czyli przedmówek trwa.

Porozmawiajmy zatem znów o klasykach. Wypada zazdrości sędziom festiwalu szekspirowskiego, którzy w coraz to innym mieście wysłuchują tekstów wielkiego dramaturga. Czy we względzie czy to teatralnym będą zawsze zachwyceni, raczej wątpliwe. W każdym razie w krakowskim spektaklu „Otella” w Starym Teatrze podpisany słuchał przede wszystkim tekstu Szekspira.

Słuchał — zadumany nad nie-trwałością pamięci ludzkiej w tym kraju. Dawna bowiem tradycja aktorska zaleca ująć Otella jako Maura, a nie Murzyna, wszelkie zaś argumenty psychologiczne i wprost z tekstu tragedii zaczerpnięte, argumenty, które przemawiają za taką koncepcją, rozpatrzył przed dwudziestu laty Boy-Zeleński („Flirt z Melpomeną”, wieść VI).

Okazuje się, że na próżno. Istnieje wprawdzie dzisiaj bardzo na wyrost skrojona moda, że recenzja teatralna nie powinna być taka, jaką pisywali Boy, Irzykowski, Lorentowicz, — zbył literacka, ale powinna przede wszystkim mówić o teatralnej całości widowiska, o ujęciu inscenizacyjnym etc. Bardzo to zabawna moda. Nie mamy w ogóle żadnej recenzji teatralnej, dostojnie żadnej poza ostatnim mohikaninem Tadeuszem Pelperem, a tu nagłe postulaty — ho, ho, ho! Sam Boy wobec nich niedorostek.

Dopóki jednak trwa czekanie na tych wielkich proroków teatralnych, poprzestańmy na mniejszych, ale za to dostępnych z ich poglądami i pomysłami. Zwłaszcza że warto Przykład „Męż i żony”, tej znakomitej komedii oprawionej do wcięcia przez Adama Polewkę w wierszowany spór Boya z prof. Ku-charskim, konfrontacja sceniczna obydwu zakończona — można ją od miesięcy oglądać w Katowicach — dowodzi, że z Boyem naprawdę warto. Chociaż gdzie tam jemu do tego genialnego ciasta, na które przepis dziesiątą mają, a zakalec wy-piekają.

Otello jest Maurem. Po argumenty odsyłam do „Flirtu z Melpomeną”. Dość do nich można, że o ile we współczesnej Szekspirowi angielszczyźnie słowo Moor oznacza zarówno Maura, jak Murzyna, to pierwowzór Szekspira, włoska nowela Giambattisty Giraldiego, nie pozostawia żadnych wątpliwości. Otello jest w niej il Moro, a nie il Negro. A Włoch chyba lepiej znał możliwości obyczajowe Wenecji od Anglika. Zresztą pamiętać wypada, że całe prawdopodobieństwo historyczne przemawia również za Maurem. Z wybrzeży północnej Afryki wywodzili się przecież korsarze i awanturnicy morskcy, tam były dzikie pola i najdalsze kresy ówczesnej Turcji. Jeżeli przypomnieć, że taki np. Algier dopiero w XVI wieku uznaje nominalnie zwierzchnictwo Turcji, łatwo pojąć zaciekłość Otella przeciwko Turkom. Przecież to zaciekłość watażki, którego chcą ujarzmić.

W jego przejściach zastanawiają dzisiaj motywy ważniejsze nawet od stopnia zaciemnienia skóry. Gdy je przemysleć, cała tragedia zazdrości wyglądać poczyna dosyć odmiennie. Musiałbyśmy gęsto cytować Szekspira, by uzasadnić proponowaną interpretację. Dlatego propo-

nuję ją gołostownie, po dowody odsyłając czytelnika do Peatru.

Ten wódz maurytańskiego pochodzenia nie jest młodym człowiekiem. Desdemona poszła za nim pociągnięta jego legendą żołnierską, a nie samymi walorami porucznika od ułanów. Skoro zaś tak, Otello ma za sobą długą karierę żołnierską. Karierę bardzo specyficznego typu — najemnika i kondotiera. Długo się musiał tulać po różnych legiach cudzoziemskich, zanim dobił się miejsca w Wenecji, na którym jest następujący.

Takie kariery odbywają się tylko w szczególnych okolicznościach historycznych. Albo w okresach cesaryzmu, kariery napoleońskich marszałków, albo też w ustrojach zupełnie niewieściejących, gdzie państwo musi wynajmować cudze zbrojne ramiona. Barbarzyńscy wódzowie upadającego Rzymu.

Rzecz oczywista, że kariera Otella w Wenecji w XVI wieku mieści się w tym drugim przypadku. Ale najemnik żołnierski, chociażby się do-służył najwyższych zaszczytów w swoim fachu, stać będzie zawsze trochę poza nawiasem społeczeństwa, któremu służy. Obyczajowo, towarzysko, nawet w sensie oglady osobistej Otello jest wyraźnie poza tym nawiasem. „O sprawach tego wielkiego świata mało więcej powiedzieć mogę nad to, co dotyczy bitew i powołań żołnierskiego życia” — powiedział, chociaż jako wódz najemny do tego wielkiego świata Wenecji w dużej mierze należy.

Otello uszakie pragnie należeć całkiem. A życie najemnika i kolor skóry musiały w nim wyrobić jakieś kompleksy niepełnej wartości. Musiał, chociaż Wenecja bywała w tych sprawach całkiem liberalna, podobnie jak Francja współczesna. Otello leczy te kompleksy w jakiejś ludzki i jakże zrozumiały sposób — kobieta. Kobieta młoda, najwyższej oglady towarzyskiej. Ta, która ostatecznie potwierdzi i zamknie jego uładą karierę życiową. Czy trudno się domyśleć, jakie to stworzenia przewalają się po jego namocie? Jak różne od Desdemony?

Dopiero kiedy wśród takiego tła ustawić miłość Otella, tłumaczy się ona jasno. Miał dosyć czasu, by wyżyć się fizycznie. Daleko mu jeszcze do starczych dziwactw. Nie mamy prawa przypuszczać, że to obuda każe mu przemilczać, że do Desdemony ciągnął go jedynie zmysły. Jest na taką grę zbyt prostolinijny.

Krótko mówiąc — miłość jego, a później zazdrość, to raczej parawan dla innych przeżyć. Kiedy Jago podważa jego zaufanie dla Desdemony, reakcja Otella jest niezwykle znamienita i potwierdza tezę o nieprzystosowaniu psychologii Maura do jego formalnej rangi. Otello tak tłumaczy sobie postępowanie zdradzieckiej rzekomo żony: nie znam tutejszych gier psychologicznych. Nie chwytam różnic i odcieni tego miasta. Łatwo mnie zwieść.

A śmierć Otella! Przecież to również śmierć zawiedzionej, oszukanej, ale zawsze w najlepszej wierze działającego najemnika. Zginie od własnego miecza, ale wśród słów, że gdy Turcy w Aleppo bit Wenecjanina, takim samym sztychem on, obrońca Wenecji, przesywał mu pierś. Bo najemnicy mają swój honor. Któż nie pamięta z „Ogniem i mieczem” pułkownika Wernera po zdradzie Krzeczowskiego pod Kudakiem.

Jago uderza na Otella z dwóch pozycji: pozycji zazdrości erotycz-

nej i pozycji męskiej kariery. Uderza dlatego, ponieważ i tu i tam został dotknięty, lub przynajmniej przypuszcza — zazdrość o żonę — że jest nim naprawdę. Motywy męskiej ambicji grają u niego ważną rolę. Zważmy bowiem, że w przebiegu akcji tylko pominięciem przy awansie jest faktem niewątpliwym. Jago, dawny towarzyszy bojowy Otella, może tym pominięciem czuć się naprawdę boleśnie dotknięty. Natomiast jego zazdrość o żonę polega jedynie na insynuacjach i plotkach. Nie dostrzegamy zresztą, by Jagonowi specjalnie na tej kobiecie zależało. Ważąc zatem w jego postępowaniu motywy poparte faktami i motywy polegające na wmo-wieniu, musimy powiedzieć, że patologia i monomania zazdrości nie tłumaczą jego postępku w sposób wyłączny.

Tak więc „Otello” to nie tylko studium zazdrości, to również tragedia kariery. U obydwu antagonistów głównych. Tak u Otella, jak u Jagona. Przede wszystkim tragedia kariery człowieka tak wyglądającego — Maur, Murzyn — i w takie wprowadzonego środowisko, że powstają w nim urazy, które leczy się dają tylko w sposób najbardziej intymny. A uderzenie w podobny system leczniczy jest zarazem uderzeniem

w cały układ osobowości, łamie całego człowieka. I mężczyznę i woda równocześnie.

Nie muszę chyba dodawać, że tak wysłuchany „Otello” jest dziełem o wiele bardziej interesującym i bliższym naszym pojęciom, aniżeli analiza zazdrości „jako takiej”. Bo jest złudzeniem, by najbardziej intymnie uderzenia nasze rozgrywały się w próżni, by nie kontaktowały się z całym zespołem warunków społecznych, wśród których żyjemy. Zazdrość bywa inna w każdej epoce i wątpliwe, czy bardzo się ktoś przejmie dzisiaj zazdrością Jagona o jej samczą wyjątkowość. Na szczęście Szekspir zauważa więcej: całą prawdę stosunków, całą prawdę indywidualnego rozwoju maurytańskiego generała. A dopiero pośród nich — zazdrość.

To mówi „Otello” uważnie wysłuchany. Potwierdza przeczytany po spektaklu. Puszczam zatem z należytą trwogą mój papierowy okrętek na niezmiernie oceanie dzieł o Szekspirze. Spodziewam się, że znawcy Szekspira już dawno wymyślili okrętek o podobnym modelu. Dlatego z należytą wobec ich wiedzy trwogą i pokorą zareczam, że ten okrętek wykombinowałem sam. Kiedy za oknem padał deszcz, a książki licho rosty.

kjw

„Młodość Edisona”

I
Wstępny napis głosi, że bohaterem filmu, który będzie przesuwaliśmy przed nami, mogłoby być jakikolwiek chłopak Stanów Zjednoczonych, jakiś John Jones lub jakiś Bill Smith, a tylko tak się złożyło, że stał się nim Tomasz Edison. Starają się więc autorowie filmu sugerować widzowi myśl, że genialny ich rodak nie był wyjątkowym darem natury, ani wyjątkowym wytworem szczęśliwie działających czynników życiowych, że w ogóle nie był zjawiskiem indywidualnym. Ta dziwna sugestia da się wytłumaczyć chyba tylko propagandą obywatelskiego optymizmu, wszepliwaniem w widzów hodowlanej idei, że każdy chłopiec Stanów Zjednoczonych może stać się Edisonem, jeśli tylko zechce.

Intencje, których wyrazem jest wstępny napis, odbiły się niekorzystnie na myślowej linii filmu. Nie otrzymujemy odpowiedzi, nie możemy otrzymać odpowiedzi na narzucające się pytanie, jakie to przyczyny sprawy, że właśnie Tomcio Edison, a nie żaden z jego rówieśników, stał się niezwykłym chłopcem, noszącym w sobie przyszłego wielkiego wynalazcę, który tyle zmieni w wyglądzie ziemi i w życiu jej mieszkańców. Błędem filmu jest to, że tych przyczyn nie szuka.

Ba, film w ogóle pomija milczeniem, jak w Tomku zrodził się jego zamiłowanie wynalazczy i pod wpływem czego kształtował się jego charakter. Podaje go nam film gotowego. Kiedy go poznajemy, jest już charakterowo urobionym badaczem, fanatycznym, upartym, bezwzględny. Zapewne jest tak dlatego, aby mogła realizować się sugestia wstępnego napisu, bo skoro za nieważne uzna się przyczyny, z których zrodził się najbardziej istotne rysy indywidualności Tomasa Edisona, to można sugerować myśl, że bez ich działania mogły także powstać Edisonowie.

W ogóle dziwnie pojawia się w tym filmie przyczynowość. Matka mówi o synu, że „szuka przyczyn, nie skutków”, a przecież nie jest to zgodne z rzeczywistością, bo — wręcz przeciwnie — Tomcio po-ciągają przede wszystkim skutki, a tylko dla ich wytworzenia interesuje się przyczynami. Wprawdzie raz zadaje sobie pytanie, dlaczego trawa jest zielona, ale bez chwili zatrzymania się nad tą myślą przechodzi do innej, bardziej mu bli-skiej, a nastawionej na wartościowe skutki: jak można by utrwalić morwe? Więc w ujęciu, które ma go sformułować syntetycznie, własna jego matka wnosi przyczynowość mylnie. Może autorowie chcieli ukazać, że istoty niezwykłego chłopca nie rozumie nawet jego matka, choć broni go, choć jest przeko-

nana o jego nieprzeciętności, choć wierzy w jego świetną przyszłość? W takim razie powinni być syntetycznej formule dać jakąś przeciwwagę.

Kiedyś, kiedy uniwersytety włączają w krąg swych prac także sztukę ekranową, seminarium wyłoni ze siebie studencką pracę, która — zajmując się genezą „Młodości Edisona” — zestawia dokładnie dane biografii ze zdarzeniami filmu. Jakiś umysł filozofujący wyciągnie stąd później wnioski dla syntez z zakresu psychologii narodów. Na razie zwraca uwagę fakt, że wśród przyczyn kształtujących wnoszenie się Tomka wybijają się powszechnie, najbardziej powszechne właściwości życia w Stanach i to życia ludzi dorosłych. Niezwykłości chłopcu otwiera drogę wielkości przedsiębiorczość, pomysłowe wykorzystywanie tego, co przynosi chwila, handel, odwaga i szansa.

II

Gra aktorów, poddana całkowitej wymogom naturalności i prostoty, osiąga w tym stylu pełny sukces. Nie ma ani jednego momentu chybionego. Trudna rola chłopięcego Edisona przypadła aktorzątki, której wywiązuje się z zadania bez zarzutu. Dwunastoletnia jego partnerka jest fenomenem dziecięcej naturalności. Ojciec obojga umie nie wykroczyć ani o włos poza ścisłą kopię życia.

III

Obok cennych wyników w produkowaniu dźwięków martwych (np. tych, które pochodzą ze zderzenia wagonowych buforów) przynosi ten film poważny krok naprzód na drodze do prawdy głosów ludzkich. Za zdobyczą triumfalną należy uznać pełne osiągnięcie barwy głosowej gardła starczego.

Świetlistość i barwy, jakie ten film rzuca na ekran, to czary techniki. Biele, szarości, czernie budzą podziw bogactwem odmian, a światła i cienie skalą osiaganych natężeń i przytłumień. Sprawność aparatury posunęła się tu tak daleko, że na ekranie pojawiają się już czernie przy czerniach, a mimo to istnieją wyraźnie jako odrębne odmiany czarności. Sprawność aparatury posunęła się tu tak daleko, że pozwala narzucić na twarze — nie odbierając im nic z wyrazu ich szczegółów — najdelikatniejsze cienie, np. lekkie i chwiejne cienie liści drzewnych. Polyski materiałów, akksamitność czerni intensywnych, przejrzysta świetlistość plenerów, wyrazistość krajobrazowych urwyków przebiegających w bocznym wąskim otworze wagonu, — stanowią same dla siebie estetyczną rozkosz oczu. Maszyna i fabryka wyprodukowały tu subtelne wartości duchowe.

Tadeusz Pelper

Wyszła z druku pierwsza książka WYDAWNICTWA Biblioteki Komisji Centralnej Związków Zawodowych w Polsce WŁODZIMIERZ SOKORSKI SPRAWY RUCHU ZAWODOWEGO

O właściwą pozycję ruchu zawodowego — Związki zawodowe a państwo — Związki zawodowe i partie polityczne — Rola i struktura związków zawodowych w Polsce — Społeczny aspekt ustawy o związkach zawodowych — Wobec zagadnień chwili obecnej — Tragedia pompek inteligencji polskiej — Do nauczycielstwa polskiego — O demokratyczną kulturę polską — Poprzedził przedmową O. Szechter.

K. 184-1

Stefan Papée

GWIDON MIKLASZEWSKI

Kałamarze polskich pisarzy



Plotki, plotki...

Na podwórzu Domu Literatów w Krakowie zjawił się wcześniej rano jegomość z prowincji, zdjął kapelusz, nie wiadomo z gorąca czy z uszanowania i krzyknął:

— Mistrzuu!
Cisza. Dom spał jeszcze, literaci wrócili późno, bo akurat dzień przedtem odbyła się premiera „Rozdroża miłości”. Ale na ponowny okrzyk zerwał się i wychylił z okna gorliwy sekretarz związku K.

— Kogo pan woła?
— Ja nie do pana — powiedział przybyś. I dalej pokrzykuje: Mistrzuu!

Wkrótce wszystkie balkony i okna wychodzące na podwórzu zapęłniły się wywołanymi. W matczyniku domu stał się ukryty skromnie jedynie Jerzy Szaniawski.

Wielbiciel z podwórza konfrontował każdą twarz ze swoim obrazem mistrza — i darł się dalej.

— Jakiego mistrza pan szuka? — zapytał w końcu rzeczowo dozorca domu.

— Ano mistrza blacharskiego Kozimora.

— To nie tu, idzie się przez kawiarnię „Egerie” — dozorca uspokoił gościa i pobudzonych lokatorów.

Spośród wszystkich swoich prac zainteresowany Witkacy najczęściej wagi przypisywał własnej filozofii. Na zjeździe filozoficznym w Krakowie dopuszczono go do wygłoszenia referatu o jego systemie monadologii. Wstępując na katedrę, Witkacy mruzczał z zadowolenia, dumy, czy kpinny: „By królom był równy...”

Szczególna przyjaźń łączyła Witkacę z profesorem Oszackim. Zjawiał się w jego domu na dyskusjach z profesorami, dając znać przed drzwiami porozumiewawczym szczeniakiem. Udzielał jego w dyskusji ograniczając się niezmiennie zrazu tylko do wymownego milczenia. Witkacy siedział w fotelu, zamykał oczy i udawał, że śpi. Gdy zniecierpliwiony rozmówca zwracał gospodarzowi uwagę na śpiącego, Witkacy zrywał się, wpaść w oburzenie, gromił nieuważnego i przesiadłszy się na inny fotel, znów zapadał w senność. W ten sposób zmuszał każdego nowego gościa do podtrzymywania wywodów.

W okresie największego nasilenia łapanek w Warszawie odbyło się w domu jednego z literatów zebranie, na którym pewien młody poeta wygłosił odczyt o wspólczesnej literaturze polskiej. Irzykowski zarządził prelegentowi, że nie uwzględnił najważniejszych spraw, poruszających wszystkich tak mocno.

— Tak — szepnął ktoś ze zgromadzenia i trwogą — my tu się bawimy w sztukę, a w kółko nas groza...

— Chodzi o zagadnienie elipsy i metonimii w poezji awangardowej — ciągnął niewzruszony klerk.

Statystyka bezzennych w zawołanie literackim dąbaj poczytane wyniki. Okazały się nie tylko, że oficjalnych starych panien i starych kawalerów w świecie literackim jest więcej niż wśród innych „wolnych zawodów”, bo pisarki i pisarze wolą wolne związki, ale że idea starokawalerstwa ma swoją zawodowoliteracką filozofię.

Wśród współczesnych królem bezzennych należałoby obwołać oświadczenie w bojach literackich i antymażeńskich Dziadka Awangardy, niezrównanego stylistę, T. P.

W czasie wojny ścigany przez jedną ze swych morganatycznych żon za pośrednictwem ambasadora Rzeczypospolitej w najdalszej ze stolic europejskich, na pytanie, czy jest żonaty, rzekł uroczystie:

— Wobec Boga i historii oświadczam, że nigdy nie byłem, nie jestem i nie będę żonaty.

— Historia powszechna nie zapomni panu tych historycznych

słów — odrzekł ambasador. Ale co na to historia literatury? Wyrzekł się pan możliwości stworzenia jedynego swojego żywego dzieła.

W księgarni „Czytelnika” w Krakowie — slyszalem to na własne uszy — zażądał jakiś uczeń gimnazjalny z prowincji:

— Proszę Jana Kochanowskiego „Pieśń Świętojańska o Osóbce!”

Antoniego Słonimskiego pytają na Szuca:

— Jak panu się u nas podoba? — Niezgorzej, — odpowiada Słonimski. — Mówiono, że znajduje się za żelazną kurtyną, a ja znalazłem się tylko za... Żelazną Bramą.

W godzinach popołudniowych na wale wistlanym od strony Belwederu, na potężnej kasztanowej klaczy ze stajni marsz. Żymierskiego ewaluje codziennie Stanisław Grabski.

Skończył 77 lat, ma brodę jak stary Tolstoj, skarży się, że źle widzi i źle słyszy, ale jest nadal pełen werwy i zapału.

— Właśnie przenoszę się pod Warszawę — opowiada. — Dostanę tam sadybę (w zamian za posiadanie w Lwowie), gruntu 9 morgów, będę gospodarzył! Ale na jesieni wyjadę jeszcze do Ameryki.

— W jakim celu, panie profesorze? — Na studia — oświadcza Grabski.

Na ulicach Warszawy widziano w tych dniach młodego, przystojnego podpułkownika z „Polandem” na ramieniu, mocą orderów angielskich, w mundurze kroju zachodniego.

Był to obecny posiadacz historycznego Hotelu Lambert w Paryżu, hr. Stefan Zamoycki. Był w armii Sikorskiego, dowodził kompanią pod Narvikiem, jego kompania zdobyła Ankenes. Potem adiutantował Sikorskiemu.

Przy końcu wojny w ręce polskiej dywizji pancernej wpadły liczne konie ze stadnin polskich, wywiezione do Niemiec. Powierzono je Zamoyckiemu, znanemu koniarzowi.

Jakież było zdumienie i oburzenie władz londyńskich, gdy Zamoycki stanął na stanowisku, że konie te winny wrócić do Polski.

— Przecież stadnie Klimontowską upaństwowiono, — przypominał ktoś Zamoyckiemu.

— Ale Klimontów jest dalej w Polsce, — odparł Zamoycki.

I konie wróciły.

Czescy pisarze byli w gościnie u Jarosława Iwaszkiewicza, na tak zwanym Stawisku w Podkowie Leśnej. Bardzo im się podoba charakter Stawiska — prawdziwie polskiego dworu.

— Powieście — zagadują na pożegnanie — a komu to skonfiskowano, nim wam dano?

W księgarni „Czytelnika”:
— Poproszę o słownik!
— Jaki? Francusko-polski? Ro-
syjski? Angielski?

— Nie. Do Gohubiewa!

Podczas matury:
— Kto to był Jarosław Dąbrowski?
— Dowódca kościuszkowskiej dywizji pod Lenino.

— A co poza tym?
— Ożenił się z Wandą Wasilewską.

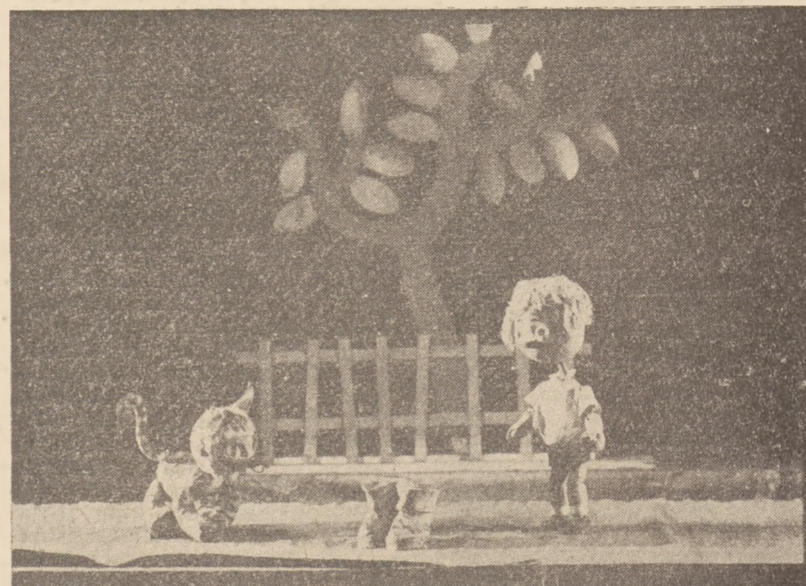
U „Marca” ktoś oznajmia:
— Wście, gdzie Grabski się osiedla? W Sulejówku!
— Kiwanie głowami:
— Rok temu urzędował w Belwederze, teraz mieszka w Sulejówku, podobno jeździ na kasztancie — czyimi śladami on chodzi!

Nemo

KRONIKA TEATRALNA



Na małej scenie Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach odbyła się prapremiera sztuki Witolda Świątkickiego „Nokturn”. Na zdjęciu M. Ursyn (Anna) i St. Wincenty (Pan B.)



Teatr lalki i aktora „Groteska” w Krakowie wystawia „Kot w butach” Tadeusza Kwiatkowskiego. Muzyka Stefana Kisielewskiego, dekoracje i lalki Józefy Piętkówny

W szkółce polemistów (2)

O ciętości

Nikt nie wątpi, że Kott potrafi pisać w sposób cięty i że potrafi, gdy zechce, wyminać w sporze istotną treść sprawy. Obie te umiejętności występują w replie utalonego autora na temat notatki „W szkółce polemistów”. Nie chodziło tu bynajmniej o wyłapywanie gaff — gaffy stylistyczne czy merytoryczne mogą się każdemu zdarzyć, ale nie decydują jeszcze o wartości pracy. W notatce chodziło przede wszystkim o uchwycenie mechanizmu powstawania pewnych polemik, o uwidaczenie, mówiąc słowami przysłowia, jak z igły robi się widły.

Kott wytknął całkiem słuszną gaffę Zawadzkiemu na temat metalu Geista. Zawadzki pisał w swym studium, iż pisma Prusa stanowiły ulubioną lekturę jego wczesnej młodości. Cenną osobliwością tego, co pisze Zawadzki (obok wielu rzeczy, na które nie sposób się zgodzić), jest na polu pamiętnikarskim, intymnym rodzaj znajomości epoki, co zanika w miarę oddalenia się od niej i co nie zawsze uzyskać można z lektury. Gaffa Zawadzkiego wynika właśnie z tego na polu pamiętnikarskiego ujęcia. Metal w powieści występuje nie tylko jako wynalezienie Geista, ale i jako symbol perypetyj sentymentalnych Wokulskiego. Stąd różne określenia w różnych partiach dialogowych. Zawadzki po prostu nadmiernie zawierzyl pamięci (przy porównaniu tekstów występujące charakterystyczny rys „przejęzyczenia” — lżejszy od pajęczyny, jak mówi Wokulski, przeskoczyło w lżejszy od powietrza). Błąd to poważny, szczególnie w sformułowaniu zarzutów wobec autora „Lalki”. Niemniej wyrażone z tego powodu pouczenie Kotta stanowi dowód nonszalanckiej. Kij wysnuł z tego dalsze wnioski — jeden kamyk

niesiostrze zruczony spowodował cały grad. O to przecież chodziło w „Szkółce”.

Zresztą Kott mógłby po prostu odpowiedzieć, że nie jest obowiązany do takiego wnikanania w tekst innego krytyka, że błąd pozostaje błędem. Wówczas nie trzeba byłoby nawracać do tej sprawy w niniejszym felietonie. Ale odpowiedź Kotta pomijając istotę sprawy, kompensuje to — w sposób równie charakterystyczny dla naszych polemik — nadmiarem ciętości. Warto przypomnieć, iż poza wskazywaniem na groteskowość wymiany trochę zbyt już elementarnych pouczeń między cenionymi krytykami, w notatce zaznaczono, iż nie chodzi o pomniejszanie wagi ich prac. Określenie, użyte w stosunku do pracy Kotta, nie może być w żadnym wypadku uważane za ujemne. A Kott odpowiada tonem takim:

„I rzeczywiście, cała ta polemika nie świadczyłaby zbyt dobrze o naszej krytyce literackiej, gdyby Słonka miała rację i umiała czytać książki. Na szczęście Słonka czyta Prusa nie umie i na próżno się chwali, że ma „Lalkę” w bibliotece.”

Bo uważacie państwo, polemika musi być cięta — gdyby ją ułożył w tonie spokojnym, nie miałyby tego elementarnego atrybutu. Ale proszę mi wytłumaczyć, czym to różni się od polajanki — tak zwanej popularnie pyskwojki. Niżej podpisany tego nie lubi i zastrzega sobie prawo nie przeczytania dalszej repliki Kotta, gdyby takową zechciał uzupełnić swoje wystąpienie. W każdym razie jako cenna, choć wcale nie rzadka, próbka ciętego stylu, odpowiedź ta zasługuje na wydatne miejsce wśród wycinków „Szkółki polemistów”, dając mimo woli punkt do poprzedniego felietonu.

mgr Słonka

RUBRYKA Nr 47

MODLITWA KRÓLA HERODA

OREMUS:

Zeby ludzie w tym kraju byli punktualni;
zeby Polak był mrówką, a nie pawiem;
zeby zegarek mrówki chodził punktualnie
i mrówka żeby szczyliła się, że jest kółkiem.

Zeby z roku na rok malała liczba geniuszów,
zaś rosła robota kupowana nie tanio;
zeby nawet najszabszy, najmłodniejszy
miał chleb na stole, a w doniczce geranium.

Zeby żaden totur, lub dureń nie bredził o wojnie,
a polski mózg żeby przestał być mistycznym kalafiorem;
zeby mężczyźni mogli pracować spokojnie,
a kobiety gadać długo i bez sensu wieczorem.

Zeby kule były tylko na zajęcie
i tylko do sztychlów noże.

O te rzeczy wznoszę ramiona uparte i modły gorące,
o te rzeczy modlę się, Bracie Boże.

AMEN

Le roi Herode

APPROBATUR: JASZCZ

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, działo „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadanego materiału i zastrzega sobie prawo wyznaczenia go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą pracę danego tygodnia redakcja przynajmniej w wysokości 1000 zł., którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydaty, przełożyć na następny tydzień.

CEL

Ogłoszenia w „Głosie Wielkopolskim” (nr 132):
Panna, lat 33, z prowincji, dla braku znajomości szuka towarzysza życia religijnego do lat 40. Cel matrymonialny.

Scena w noc poślubną:
— Bądź moja, panno lat 33 z prowincji!
— Oremus, towarzyszu życia religijnego do lat 40!

WALUTA ZAGRANICZNA

W rubryce
Humor zagraniczny
drukujemy „Ilustrowany Kurier Codzienny” (nr. 117) następujący dowcip:
— Postanowiłem więcej się nie zakładać.
— Niemożliwe.
— Co, nie wierzysz? Może się założymy o 100 zł., że dotrzynam przyrzeczenia.
Ob. ministrowi Skarbu gratulujemy sukcesu.

WIELKA SENSACJA! RADYKALNY ZWROT W USTOSUNKOWANIU SIĘ NIEMCÓW DO NASZYCH SŁUSZNYCH POSTULATÓW!

„Przekrój” (nr. 112) uważa, że
Nigdy nie będzie u nas dość bicia na alarm i czujności, dopóki Schumacherzy przemawiają za naszą zachodnią granicą.
Nikczemny „Przekrój”! Zdrajco! A czego byś chciał? Zeby przemawiali przeciw naszej zachodniej granicy?

NIEJASNE ZDANIE

„Głos Wielkopolski” (nr. 158) donosi o zlocie młodzieży w Rydzynie.

Po nabożeństwie w miejscowym kościele odbył się wspólny obiad.

Przydałby się w tym zdaniu przecinek. Albo po słowie „nabożeństwie” albo po „kościółce”.

ZLEKCEWAŻONE OSTRZEŻENIE

W „Trybunie Robotniczej” (nr. 152) czytamy:

Ostrzegaliśmy niejednokrotnie zarządy wojskowe w strefach zachodnich przed zbyt pochopnym przekazywaniem władzy w ręce wielbicieli Hitlera i Goeringa.

Z oburzeniem stwierdzamy, że zarządy wojskowe w strefach zachodnich nie dość uważnie czytają „Trybunę Robotniczą”. Read the „Worker's Tribune”, gentleman, and you will avoid many mistakes.

OSTROŻNA KSIEŻNA

Z reportażu w „Expressie Ilustrowanym”, nr 155:

Pomimo, iż zamek posiadał 366 pokoi, tzn. tyle, ile jest dni w roku, księżna nie zechciała mieszkać pod wspólnym dachem z Niemcem.

Nie chciała mieszkać w pokoju Nr 366, gdyż jest to tzw. „pokój przestępny”.

AKWIZYTORZY

Ob. Zb. Pędziński otrzymał następujący list drukowany:

PRZEWIELEBNY KSIĘŻE

Przystępujemy do akcji mającej na celu wzmocnienie poczty „Tygodnika Warszawskiego”. Sądymy, że Przewielebny Książę docenia należycie rolę „Tygodnika” w życiu naszego społeczeństwa, rolę jednego z niewielu katolickich pism w Polsce.

Mamy nadzieję, że Przewielebny Książę nie odmówi nam Swego udziału we wspomnianej akcji i dlatego ośmielamy się prosić o łaskawą pomoc w jednaniu nowych prenumeratorów dla „Tygodnika”.

W tym celu też pozwalamy sobie przestać niniejszą listę prenumeratorów w nadziei, że Przewielebny Książę zrobi, co będzie można, aby ją całkowicie wypełnić.

Czytelnik „Odrodzenia”, Zbigniew Jan Pędziński, lat 19, Poznań, Al. Reymonta 5, m. 3, komunikuje uprzejmie za pośrednictwem „Camera Obscura” Towarzystwu Wydawnicemu „Rodzina Polska” w Warszawie, że jest absolwentem liceum humanistycznego, in spe studentem polonistyki. Na przewielebną karierę werbowania prenumeratorów dla „Tygodnika Warszawskiego” w żadnym wypadku nie reflektuje. Amen.

SUDECI

Na podstawie informacji w „Narzędzie Dolnośląskim” (nr. 113) oraz w „Słowie Polskim” (nr. 128) „Camera Obscura” komunikuje uroczystie, że w dniach 8—11 maja rb. odbył się na terenie powiatu jeleniogórskiego

Pierwszy Zjazd Polskich Pisarzy Ziemi Sudeckiej.

Wygłoszono tam m.in. referat pt. O roli pisarza w kształtowaniu nowej polskiej kultury sudeckiej.

Odbyła się specjalna msza św. w czasie której literaci złożyli wieniec na tablicy ku czci Bolesława Krzywoustego. Wieniec ten posiadał szarfę z napisem:

Budowniczym Polski — Pisarze Ziemi Sudeckiej.

Do zadań grupy ideowej Pisarzy Ziemi Sudeckiej należeć będzie m. in.:

Współdziałanie w ukształtowaniu nowego typu Polaka, dostosowanego do charakteru i potrzeb Ziemi Sudeckiej.

Uczestnicy zjazdu postanowili też, aby w zrozumieniu wyższych zadań państwowych na płaszczyznach politycznej i kulturalnej przestrzegać w ramach powstałej grupy zasad ścisłego braterstwa przy bezwzględnym izolowaniu się od intrzy i osobistych rozgrywek.

Po zamknięciu obrad uczestnicy zjazdu pojechali do Cieplicy, a następnie do Szklarskiej Poręby, gdzie zwiędzili m.in. słynny już „zakręt śmierci” na Drodze Sudeckiej.

Oto lista uczestników Pierwszego Zjazdu Pisarzy Ziemi Sudeckiej:

Czesław J. Centkiewicz, Paulina Czernicka, Jan Iwański, Stanisław Karzycki, Jerzy Kolanowski, Teofil Kowalczyk, Edward Kozłowski, Stanisław Mikłowska - Iwańska, Wacław Mrozowski, Maria Plaskota, Nina Rydzewska, Michał Sabatowicz, Jan Sztaymger i Paweł Szumilas.

W deklaracji ideowej Pisarzy Ziemi Sudeckiej literat Edward Kozłowski oświadczył m. in., że

Sudety, to — kraj, rzucający się w oczy swoją odrębnością i terytorialną i klimatyczną, i ustrój, nie mówiąc o tradycjach i zwyczajach ludowych, w których nieustraszone doszukają się wpływów słowiańskich.

Wygłosił on także opinię, że

W tej chwili z elementów napływowych tworzy się tutaj nowe społeczeństwo polskie, nowy typ Polaka Sudeckiego.

O wszystkim powyższym „Camera Obscura” uroczystie zawiadamia swoich czytelników i kreśli się z głębokim sudeckim poważaniem.

KOŃ W KUŹNICY

Uroczą historyjkę przynosi „Kuźnica” (nr. 24). Dr. F. F. Chaya z Ameryki (dawniej niewątpliwie Czaja) posłał kiedyś trzem pismom w Polsce po pięć dolarów jako prenumeratę. Dwa pisma zawiodły:

„ani gazet ani zwrotu pieniędzy”, pisał dr Chaya w liście do „Kuźnicy”. Tylko trzecie, właśnie „Kuźnica”, spisało się znakomicie: nie tylko numery dochodziły do rąk prenumeratora, ale po pewnym czasie, dla niewiadomych powodów, wróciły i dolary. Wtedy wzruszony dr Chaya, pragnąc odwdzięczyć się szczerobliwnemu tygodnikowi, kupił w Ameryce konia i posłał go „Kuźnicy” w darze,

„bo to jakoś nie pasowało, żebyście gazetę bez zapłaty przysyłali, myślałem, że wam się koń może przydać do rozwolnienia gazety, a jak nie, to możecie go sprzedać i przysłać mi za to „Kuźnicę” przez jakie pare lat”.

Stąla się jednak rzecz bardzo dziwna. Oto dalszy ciąg listu doktora Chaya do „Kuźnicy”:

„Coś gdzieś jest nie tak, jak powinno być, bo jak bez zapłaty, to „Kuźnica” przychodziła, a jak posłałem konia za prenumeratę, to zaraz przestała przychodzić i dotychczas się wcale nie pokazuje, i nie wiem, jak na takie zagadkowe wypadki w stosunku do polskich gazet zaradzić; ale bądź co bądź ten koń jest własnością administracji „Kuźnicy”. Zycząc wam szczęścia z niem i mam nadzieję, że będziecie mieć więcej korzyści niż kłopotu z niego”.

Na to redakcja „Kuźnicy” zawiadomiła hojnego koniodawcę, że przekazała bachmatu delegaturę „Czytelnika”, zajmującą się administracją i kolportażem pisma. I że

cieszy się on najlepszym zdrowiem i stanowi nasze niewątpliwie „habet” na koncie rozrachunków z naszą instytucją wydawniczą.

Przed wszystkim gratulujemy bratniemu organowi znakomitej gry słów, nie wątpimy, że świadomej: „habet” i chabeta...

Sympatycznego zaś doktora zawiadamiamy, że jakaś racza szkapa (może być Pegaz) przyda się również „Odrodzeniu”. Cdyby z przesyłką jej do Polski były jakieś trudności, wystarczy skromny smacochodzik...



Colliers

— Może już dosyć będzie tego spaceru?